

Tadeusz Pietkiewicz

NUMER IO-651. WILNO–WORKUTA–KAMARCZIAGA –OLSZTYN–SŁUPSK

*Mama moja tyle lat się modliła
do Matki Boskiej Ostrobramskiej o moje ocalenie...
i to mnie uratowało...*

I. Rodzina

Ojciec mamy pracował w Petersburgu, w Kronsztadzie i w Zakładach Putiłowskich – wielkim kombinacie wytwarzającym m.in. tabor kolejowy. Tam moi rodzice się poznali. Mama była rodowitą Szwedką, z domu Lumbe. Przyjechała do Polski, do Wilna w 1921 r. W Leningradzie natomiast została ciocia, siostra ojca – Wiktoria Pietkiewicz. Później utrzymywała kontakt z mamą, często wysyłały do siebie listy, ciocia pisała pięknie po polsku. Z czasów, kiedy ją pamiętam, była już starszą panią, miała na wychowaniu jakiegoś wnuczka. W 1962 r. mama dostała zaproszenie od cioci Wici do Leningradu. Pojechała wtedy w kabinie pasażerskiej statku węglowego, odwiedzając przy okazji rodzinę w Sztokholmie i w Finlandii. Ciocię natomiast jeszcze przed 1980 r. zaczęło prześladować KGB. Zrobili jej w domu rewizję i znaleźli zdjęcie Piłsudskiego. Uznali ją za wroga narodu, dostała nakaz osiedlenia 101 kilometrów od centralnych miast ZSSR, w izolacji od społeczeństwa. Do więzienia nie chcieli jej już wsadzać, bo była za stara. Mieszkała więc w domu starości lub jakiejś podobnej instytucji gdzieś między jeziorem Ładoga a Morzem Białym i tam umarła za ten obrazek Piłsudskiego. Mamę poinformowano o tym listownie.

Ojciec z wujem służyli w wojsku od 1918 r. pod rozkazami gen. Dowbora Muśnickiego. Ich pułk techniczny stacjonował pod Poznaniem w majątku państwa Baczyńskich. Rozbrajali Niemców w czasach, kiedy do Poznania przyjechał Paderewski. Niemcy czasami wdawali się w potyczki, ale najczęściej oddawali. W 1920 r. przyszedł rozkaz wymarszu pod Warszawę, ojciec i wuj brali udział w bitwie pod Radzyminem. Ojciec był pierwszym numerem ciężkiego karabinu maszynowego. Wuj z kolei opowiadał, że jak bolszewicy szli niezliczonymi falami, jego karabin tak się rozgrzał, że przestał strzelać, więc w końcu musiał walczyć wręcz. Wisła szła wtedy czerwona, pełna trupów kacapów.

Za walkę z bolszewikami wuj dostał Krzyż Virtuti Militari. Otrzymywał potem za niego 400 zł dodatku do pensji. Ojciec też miał dużo odznaczeń, w tym również Virtuti Militari. Nie widziałem ich wprawdzie – w chwili wybuchu wojny byłem za mały, ale sporo o nich w domu opowiadano. Ojciec i wuj byli zagorzałymi piłsudczykami, a piłsudczycy mieli w II Rzeczypospolitej spore przywileje. Dostali możliwość osiedlenia się na Wileńszczyźnie,

budowali tam swoje osiedla i kolonie. Wujek pozostał starym kawalerem i mieszkał z nami, często z ojcem jeździli na ryby, w okolicach było wiele ładnych jezior. Był moim chrzestnym. Pracował jako zawiadowca stacji Nowowilejka. Zgodnie z regulaminem nosił broń, pistolet belgijski, kaliber 7,65, która odegrała w dalszej jego i mojej historii duże znaczenie.

II. Dzieciństwo

Urodziłem się 28 lutego 1928 r. Wczesne dzieciństwo przebiegało szczęśliwie w niepodległej II Rzeczypospolitej. Mieszkałem w Wilnie, ulica Popowska 43 (obecnie Świecikugawie) na Zarzeczu, w pobliżu żydowskiego cmentarza. Niedaleko stamtąd płynie Wilejka, za nią biegnie ulica Mickiewicza. Mama była lekarzem, pracowała w szpitalu, ojciec jako referent na kolei, w dyrekcji na rejon Wileńszczyzny. Siostra skończyła gimnazjum Mickiewicza. Poza tym miałem dwóch braci, obaj służyli w wojsku.

Często robiliśmy wycieczki za miasto. W Podbrodziu stacjonował 23. pułk ułanów. Jeździliśmy tam czasem z mamą na pokazy sprawności kawaleryjskiej, popatrzeć jak wojsko łożę tnie. Z kolei parę kilometrów za Podbrodziem znajdowała się stacja Zułów, skąd pochodził Piłsudski. Natomiast w Parafianowie, położonym między jeziorem Narocz a Mołodecznem, ojciec z matką ufundowali tablicę pamiątkową w kościele farnym. Kiedy ją odsłaniano w 1933 r., odbyła się całkiem spora uroczystość, w której uczestniczyli liczni kombataneci wojenni.

Moja szkoła podstawowa również znajdowała się na Zarzeczu. Pamiętam dobrze nauczycielkę, panią Woronkiewicz, dawała mi czasami dwóje, a zdarzało się też, że przychodziła do rodziców, by poinformować ich o moich kolejnych wybrykach. Niestety naukę szkolną skończyłem na podstawówce. Bardzo szybko musiałem podjąć naukę w okrutnej szkole życia.

III. Nadchodziła wojna

Nadchodziła wojna, wyczuwana na skórze jako nieprzyjemne mrowienie podczas rozmów dorosłych, znana z książek i opowiadań, niepojęta, romantyczna, nieunikniona. I wojna przyszła.

Mój brat Lucjan był kapralem w 19. pal (pułku artylerii lekkiej) stacjonującym w Nowowilejce. Drugi brat (Zenon) poszedł do wojska w 1938 r., skończył podchorążówkę i służył potem jako żołnierz zawodowy, w stopniu porucznika, w 3. baonie saperów stacjonującym w obrębie miasta nad Wilią. W niedzielę puszczano żołnierzy do kościoła i wtedy można było się z braćmi spotkać. Po kościele przychodzili do nas często na obiad. Mocno wyrył mi się w pamięci moment, kiedy Lucjan podczas przysięgi wojskowej z szacunkiem ucałował karabin.

Ostatni kontakt z braćmi mieliśmy we wrześniu 1939 r., kiedy poszli na wojnę, potem zaginęli bez wieści. Czasami myślę, że można by się czegoś dowiedzieć, studiując dzieje jednostek wojskowych walczących we wrześniu 1939 r. Może ktoś wie, gdzie ten 3. baon saperów i 19. pal były rzucone. Może na Zaolzie, może na wschód?

Zaraz po swoim wkroczeniu Sowietzi aresztowali mojego ojca i poddali go dokładnym przesłuchaniom. Ruscy posiadali dokładne dane w swoich archiwach i zemścili się na nim od razu za wojnę z 1920 r. Wywieźli go do łagru położonego za Irkuckiem, gdzieś koło Kańska. Wtedy, za pierwszej okupacji, od razu pokazali swoje bezbrzeżne okrucieństwo. Więzienie na Łukiszkach zapełniło się od razu. Na wschód szedł pociąg za pociągiem. Całą Rosję Polakami zasiali...

Ojca więcej nie zobaczyłem. Pracował w kopalniach złota i każdego dnia jak inni więźniowie [był] prześwietlany promieniami rentgena, by sprawdzić, czy nie wynosi cennego

kruszcza za kopalnię. Kiedy u kogoś coś wykryli, dawali środki na rozwolnienie i kazali samemu szukać kruszec we własnym kale. Napisali, że ojciec umarł na wylew krwi do mózgu. Tylko to, nie ma żadnych innych szczegółów. Żadnych słów, żadnych ostatnich spojrzeń, mówionych z wysiłkiem słów, błogosławieństw. Jedynym szczegółem jest miejsce śmierci – *irkuckaja oblast*, chociaż trudno nazwać szczegółem taki olbrzymi obszar.

Wojenny los oszczędził mi losu „Małego Żołnierza”, ale zabrał kilku z tych, których kochałem. Dla mnie najgorsze miało dopiero nadejść.

IV. Ciekawe rzeczy człowiek pamięta...

W czerwcu 1941 r. miałem około 12 lat. Front przemieszczał się szybko. A między wrogimi, miazdzącymi się armiami przesuwał się gdzieś tam obszar ziemi niczyjej. Na Wileńszczyźnie praktycznie przez ponad 2 tygodnie nie było żadnej władzy. Niemcy przepędzili ruskich, front był tam, gdzie Wiaźma i Wielkie Łuki. Niemcy zostawiali za sobą mnóstwo sprzętu. Całe drogi były nim zasłane. Spychacze odwalają go na boki, a kolejne kolumny wojska szły i szły. Opuściliśmy wtedy z rodziną Wilno i wałęsaliśmy się po wsiach. Trochę czasu spędziliśmy w Małej Wilejce. Taty nie było, braci nie było – zostaliśmy mamusia, siostra i ja.

Wtedy właśnie chłopaki powiedzieli nam, że niedaleko Głębokiego jest duże złomowisko, gdzie Niemcy zostawili mnóstwo sprzętu, w tym sporo niesprawnych samochodów. Dla nas, chłopaków czasu wojny, było oczywiste, że musimy tam się wybrać. Niedaleko mnie mieszkał z rodziną równolatek – Adaś Zieliński. Razem znaleźliśmy działającą drezynę w zakładach remontowych w Wilnie i pojechaliśmy do Głębokiego. Znalazłem tam świetną niemiecką rakietnicę. Co więcej, w schowku jednego z samochodów znalazłem również pociski do niej.

Jacyś starsi ludzie powiedzieli nam, żebyśmy podeszli do Berezowca, który leżał całkiem niedaleko – około 600–700 metrów od miasteczka. Znajdował się tam stary, zbudowany jeszcze za cara klasztor z pięknymi kopułami. Sowietci, jak mieli w zwyczaju postępować z tego typu obiektami, zrobili z niego więzienie. Otoczone było wysokim murem, w którym znajdowała się duża, metalowa brama. Stała otwarta, więc gnani ciekawością weszliśmy do środka – na dziedziniec. Dotarliśmy tam bodajże cztery godziny po odjeździe ostatnich sowieckich zisów. A tam widok jak z najkoszmarniejszych snów. Ogromne cztery doły, pełne postrzelanych trupów polanych żrącą, śmierdzącą substancją, chyba karbolem. Na własne oczy to widziałem, nawet dzisiaj pokazałbym miejsce.

СВИДЕТЕЛЬСТВО О СМЕРТИ
СМ № 164959

Гр. Григорий Павлович Павлов
умер (ла) до 10 часов 30 минут
возраст 1886 2 к. 10 месяцев
Причина смерти кровоизлияние в мозг
о чем в книге записей актов гражданского состояния о смерти
19.04.1947 года апрель месяца 19 числа
произведена соответствующая запись за № 139
Место смерти: город, селение _____
район _____ область, край, республика _____
Место регистрации: г. Минск
Дата выдачи 19.04.1947 19.04.1947
Подписи: Григорий Павлович Павлов
Заведующий бюро записей актов гражданского состояния

Завиdомление о смерти ojca*

* Wszystkie ilustracje zamieszczone w tekście pochodzą ze zbiorów autora relacji.

Na dziedzińcu klasztoru zaczęło pojawiać się sporo ludzi szukających swoich. Wśród ofiar sporo było „kułaków” oraz osadników przybyłych w te okolice za Piłsudskiego, weteranów wojny 1920 r. Mogli trzymać w tym więzieniu około 200–300 osób, zapewne nie więcej. Wydaje mi się teraz, że nie miało tu miejsca spontaniczne rozstrzelanie – mord musieli przygotować. Zaczęliśmy oglądać klasztor i znaleźliśmy jakieś kotły, a w nich zupe, w której pływało białe mięso. Spytałismy się jakiejś kobiety, co to jest. Ona na to, żebyśmy szybko stąd uciekali, bo ruscy wrócą i nas zastrzelą. Powiedziała, że to ludzkie mięso i że czekał się je gotowali i karmili nim więźniów. Dzisiaj wiem, że istotnie taki kolor ma mięso ludzkie, jest naprawdę białe, takie jak indycze. Sam później nieraz widziałem.

Zamiast ruskich przyjechali w niedługim czasie Niemcy na harleyach, z bocznymi przyczepami i karabinami maszynowymi. Przywieźli ze sobą reporterów, którzy od razu zaczęli robić film i rozpytywali się, w którą stronę uciekli Sowieci. Krzyczeli: *Wo sind die Russen!*¹ Ludzie pokazali kierunek na Królewską. Jest to miejscowość około 15 kilometrów od Berezowca, węzłowa stacja kolejowa. Prowadziła do niej droga bita, napoleońska. Rosjanie swoimi trzema zisami nie mogli szybko jechać, natomiast Niemcy na swoich uzbrojonych po zęby motorach szli jak burza, wszyscy się ich bali. Pojechali zatem za nimi i – jak mówili okoliczni mieszkańcy – dogonili Sowietów na moście na rzece Bladce. Szybko ustawili karabiny maszynowe i ścięli ich, kiedy tamci przejeżdżali na drugi brzeg.

Ja i Adaś wróciliśmy natomiast do Wilna, do domu. Dostałem oczywiście od mamy w cielecinę za tę eskapadę. Ale też chłopaki lubią sobie nabroić w młodym wieku, a jakie czasy, takie brojenie.

V. „Burza” 1944

Akcja „Burza”, Wileńszczyzna błyska i grzmi. Mobilizuje się partyzantka. W tamtych regionach mieszkało dużo patriotycznie nastawionych Polaków, w tym sporo osadników. Kolumny AK szły, chłopaki się dołączali, przyjmowali wtedy każdego. Jedno z ważnych miejsc, gdzie zbierały się oddziały leśne, stanowił brzeg jeziora Narocz, przed wojną największego jeziora w Rzeczypospolitej. Stąd było już blisko do Puszczy Białowieskiej. W konsekwencji powstała na tym obszarze pokaźna siła zbrojna, mogąca w razie potrzeby poważnie wesprzeć Warszawę. Wśród żołnierzy dominowały roczniki: 1923, [19]24, [19]25. Sama krew z mlekiem, szczerzy patrioci.

Całe moje 16 lat wiedziało jedno – trzeba być tam, gdzie walczą. Wymknąłem się w nocy, uciekłem od matki i razem z wujem poszedłem do lasu. Co moja mama, kochana kobieta, musiała wtedy przeżywać! Ale chyba zrozumiała. Koncentracja oddziału leśnego 7, do którego dołączyłem się ja, 15-letni Pan Tadeusz, miała miejsce pod Wilnem, koło lotniska wojskowego Porubanek. Szliśmy dzień i noc. O broń było stosunkowo trudno. Anglicy trochę jej zrzucali, a razem z nią w skrzynkach zegarki szwajcarskie. Sowieci mieli na rękach takie duże Kirowy, więc za jeden zgrabny zegarek dostała mi się pepesza i dwa magazynki. Jakoś się z rosyjskimi żołnierzami dogadywałem, mówiłem takim mieszanym językiem zabugowskim. Inni kupowali sowieckie kbk, przeciwpancerne ppr-y oraz diektiary. Oddziały z Wileńszczyzny, w tym „Łupaszki” i „Wilka”, brały też broń od Niemców. W oddziałach partyzanckich znalazło się też kilka dużych i jak dla mnie przepięknych samochodów ciężarowych – Oplów Blitz. Akowcy mieli również działa, które ciągnęli przy pomocy tych samochodów, i płacili chłopom za podwozy. Transportowano więc prowiant i amunicję, a kto miał słabsze nogi, to też mógł jechać. Nad nami krążyły radzieckie kukuruźniki – Sowieci śledzili nas cały czas, robili zdjęcia.

¹ Gdzie są Rosjanie!?

Pewnego dnia dowódca nasz objechał na kasztanie oddziały i powiedział: – Panowie! Jesteśmy wszyscy zdradzeni. Opór jest bezcelowy, broń zdawać, ale bez zamków, żeby nie można było z tej broni już do nas strzelać. Byłem uzbrojony w pistolet, belgijkę kaliber 7,65, którą otrzymałem do wuja. Udałem, że chcę się załatwić, poszedłem kilka kroków w las i tam schowałem broń, dobrze wcześniej zapamiętawszy, gdzie to było. A działo się to około 40 kilometrów od Wilna.

Nasze całkiem spore zgrupowanie znalazło się niedaleko szosy oszmiańskiej, głównego traktu tamtego regionu, prowadzącego w kierunku Mołodeczna (dzisiaj przy granicy z Białorusią). Rosjanie przystąpili w końcu do naszej likwidacji. Otoczyli nas czołgami, rozbroili, uformowali w kolumny i popędzili na Miedniki. Znajdowały się tam dwa klasztory – zamienione na więzienie. Stamtąd wozili do Kaługi, gdzie robili dalszą selekcję. Klasztory nie były jakieś olbrzymie, a nas znalazło się tam tysiące. Osobistej rewizji nie robili, zabierali tylko długą broń. Więzienia improwizowane, nadzór nie do końca „profesjonalny”. Połowa naszych uciekła zaraz po aresztowaniu. Mieli krótką broń ze sobą, zaczęli się odstrzeliwać i dopiero wtedy doszło do zaostrzenia sytuacji. Jak wpadłem tam do środka, to od razu wiedziałem, że muszę się stamtąd wydostać, bo będzie ze mną koniec. Pamiętałem obrazy z Berezwecza i doskonale wiedziałem, co Sowieci w takich sytuacjach robili. Uciekłem w nocy z zatłoczonego dziedzińca. Od razu rzuciłem się w krzaki i biegłem płasko przygięty do ziemi, co chwila zmieniając kierunek. Niestety zauważyli mnie. Błysnęły reflektory. Bili z pepesz i trafili mnie nieco przypadkiem, ale postrzelili nieźle, głównie w plecy. Poczułem ból i ciepło, ale nie przestałem biec. Gdyby wtedy mieli na wyposażeniu kałasznikowy, byłoby po mnie, ścięliby na pół. Jednak ocalałem. Później po latach spotkałem innego chłopaka, który też był wtedy w Miednikach, poznał mnie, a ja jego. Dziwnymi drogami przebiega los.

Uciekałem lasami, omijając osady. Miałem szczęście, że mieszkało tam sporo naszych. Wioski leżały rzadko, wśród nich było wiele kolonii osadników. We wsi, do której wszedłem, poprosiłem jakąś kobietę o konia. Byłem chyba za słaby, by jechać samemu, więc do domu przywiózł mnie furmanką jeden z gospodarzy. Mama zabrała mnie od razu do szpitala, na stół operacyjny. Przetoczyli mi dużo krwi, wyjęli dwie kule. Okazało się, że mam lekko uszkodzone kości. Długo tam nie zostałem, bo mama się obawiała (zresztą najzupełniej słusznie), że mnie namierzają. Potem leżałem miesiąc w domu z drenami na plecach. Zakażenie na szczęście się nie wdało, ale rany nieprzyjemnie ropiały. Organizm młody i silny w końcu wydobrał, na kręgosłup nigdy potem nie narzekałem. Kiedy się wyleczyłem, poszedłem do roboty takiej, jaka się znalazła. W czasie wojny i zaraz po niej nie było szans, by się uczyć. Nie było szkoły, nie było nauki, nie było Polski. Należało wesprzeć mamę, bo dotychczas sama pracowała, by utrzymać siostry oraz chorego wuja.

Odłączył się on trochę wcześniej od oddziału, złapali go i wysłali do obozu selekcyjnego w Kałudze, ale nie mogli mu nic udowodnić i po dwóch lub trzech miesiącach wypuścili do domu. Był już wtedy bardzo chorowity. Mieszkał pod innym nazwiskiem. Umarł w 1951 lub 1952 r. we własnym łóżku na skutek choroby. Pochowano go na Rossie.

Po mniej więcej 4 miesiącach, gdy już się wyleczyłem z ran postrzałowych i mogłem w miarę normalnie się poruszać, przygotowałem rower, wziąłem ze sobą kanapki i wróciłem na miejsce, gdzie schowałem broń. Odzyskałem ją! Była wczesna wiosna 1945 r. Młody chłopak na rowerze nie rzucał się w oczy. Bolszewicy mnie nie zatrzymali. Aresztowania w ogóle się nie spodziewałem. Ktoś zakablował. Różni ludzie mieszkali w naszej okolicy, jedni donosili, inni uprzedzali o aresztowaniach. Dla Sowieców nie było przyjacie-
la, dla nich każdy był wrogiem. O zadenuncjowanie mnie podejrzewam jedną osobę, sądzę,

że był to Józef Kuźmiński, taki trochę Białorus, trochę nie wiadomo co. Pracował z moim wujkiem na kolei, miał dwoje dzieci – córkę i syna, był komunistą. Wujek często mówił, że to człowiek niebezpieczny i że go w pracy szantażuje. Obaj byli po szkole, Kuźmiński był zazdrosny o stopień i o stanowisko, dowiedział się skądś, że byłem w partyzantce... Podobno doniósł też, że wydałem jakichś ruskich.

Czekiści zrobili w domu rewizję. Kiedy mnie zabierali, to wzięli również moją belgijkę. Takiego obrotu sprawy [się] nie spodziewałem, miałem niecałe 16 lat, skąd mógłbym wiedzieć, że to aż takie niebezpieczne? Było to późną jesienią 1944 r.

VI. W szponach śmierci

Siedziałem w Wilnie na Wielkiej Pohulance. Był tam ośrodek NKWD, KPZ². Przesłuchania, tak jak każdą chwilę tamtego życia, pamiętam do dzisiaj. Prowadził je Karabiejnikow: dwie gwiazdki – młodszy lejtnant wojsk MWD. Miały one w sobie coś istic demonicznego. Przede wszystkim zawsze odbywały się w nocy. Budzili mnie i sennego prowadzili do pokoju przesłuchań. Nagan położony na stole, bez nabojów, dla postrachu, że w każdej chwili mogą zastrzelić. Lejtnant zaczyna pisać. Ty stoisz w kącie. Mija jedna godzina, dwie, trzy, cztery, pięć... Nic nie pyta, usiąść nie każe... Od 23.00 do 4.00–5.00 rano. W końcu naciska guzik. Pod drzwiami stoi konwój i odprowadza znowu do celi. Taka procedura jest potwornie wykańczająca psychicznie, wielu ludzi nerwowo nie wytrzymało... Perfekcyjny system ruski nasze UB również stosowało.

Ze mną po piątej, szóstej takiej nocy lejtnant zaczął rozmawiać. Wypytywał się o moją partyzantkę, o rodzinę. Z takimi biografiami jak mieli mój ojciec, wuj i bracia byłem przecież murowanym wrogiem Sowietów.

Mamusia moja dowiedziała się w końcu, gdzie mnie posadzili. Przyniosła jeszcze przed wyrokiem paczkę ze skarpetami, w której poza tym była ciepła koszula, sweter, chusteczki do nosa, rękawice i czapka oraz trochę sucharków. Kwintesencja matczynej odwagi i miłości.

Przyprowadzili mnie do niego do pokoju. Patrzę na stole jakaś paczka.

Karabiejnikow do mnie:

– *Ty znajesz szto?*

– Nie wiem – mówię.

– *Mamasza pieredaczu tobie pryniesła, no ty swołocz, ty wsiegda wrjosz i za to ty niczego nie pałuczisz*³.

Bierze nóż, rozcina paczkę i wszystko wyrzuca na ziemię, na podłogę: sweter, czapkę, rękawice.

– *Starszyna bieri jewo!*

To wszystko tam zostało, mi nie dał nic.

Miłość matki jest niewyczerpana – mama jeszcze raz przyniosła paczkę, i niewyczerpana była nienawiść czekistów – Karabiejnikow jeszcze raz zrobił to samo. Podczas przesłuchań pytali też o braci:

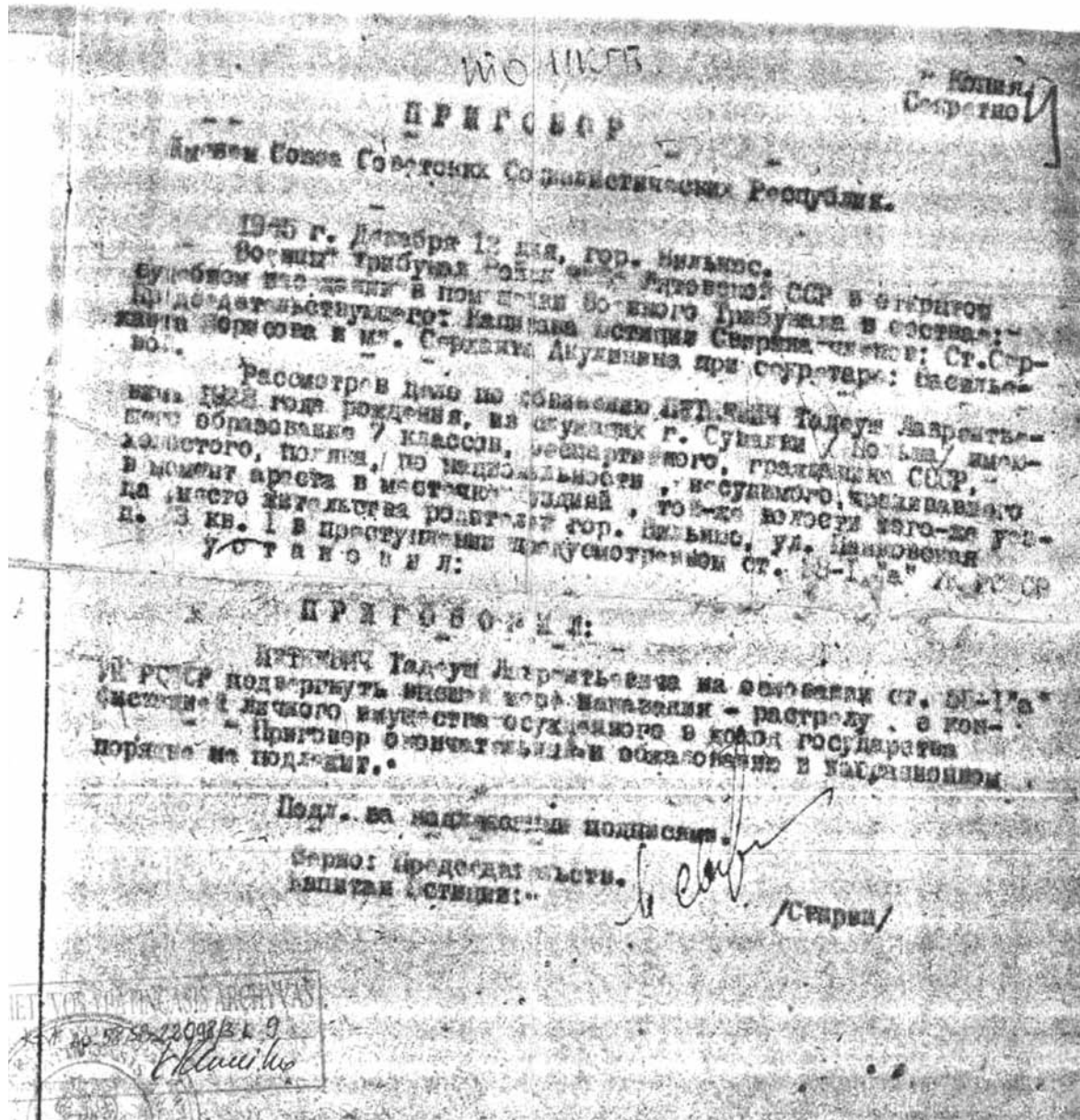
– Bracia nie wrócili z wojny, ojca wzięliście w 1939 r., po co się pytacie?

– A po co ty poszedłeś w las przeciw nam walczyć?

– Bo wszyscy poszli, w mieście nie dało się żyć, mordowaliście wszystkich, nawet pies się broni, jak zły gospodarz.

² KPZ należy zapewne odczytywać jako skrót rosyjskiego Kamiera Priedwaritielnogo Zakluczenija, oznaczającego areszt śledczy.

³ Matka przesyłkę tobie przyniosła, ale ty jesteś swołocz, zawsze kłamiesz i za to ty niczego nie dostaniesz.



Wyrok w sprawie Tadeusza Pietkiewicza

Po półtora tygodnia przesłuchań wojenny trybunał, tzw. *trojka*, wydał wyrok. Wyrok śmierci. Z art. 58 [ust.] 1a za *pamienienie rodiny* (zdradę ojczyzny)⁴. Do tego konfiskata mienia mojego i rodziny.

- Jaka ojczyzna, ja jestem Polak!
- Ty wróg narodu, a za to rozstrzelanie.

Najwyższy wymiar kary się podpisuje, ja też podpisałem. Niedługo później wywieźli mamusię i siostrę.

Po wyroku umieścili mnie w celi śmierci w więzieniu łukiskim. Okolicę znałem, niedaleko znajdował się duży plac, gdzie przed wojną chodziliśmy na kiermasze na Kaziuki. Łukiszki to ponura twierdza, wysoka na cztery piętra, wyposażona w potężne ściany. Dla KS⁵ porobione były cele specjalne – pojedyncze, wilgotne i ciemne. Mieściły się one w piwnicach. Moja cela miała numer 374 lub 378, znajdowała się w drugim korpusie. Była tak ciasna, że nie można się było w niej wyciągnąć. Rura kanalizacyjna szła w kącie na dole i na niej opierałem głowę. Niektórzy więźniowie porozumiewali się alfabetem Morse’a, pukając

⁴ Art. 58 ust. 1a dotyczył przestępstw cywilnych, natomiast ust. 1b – wojskowych. Ja bądź co bądź byłem cywilem.

⁵ Kara śmierci.

w tę rurę. Informowali się, kogo brali na rozstrzał, pytali, która ceta, wystukiwali stare piosenki polskie. Ja z tego niewiele kapowałem. Żywili dwa razy dziennie – rano i wieczorem. W celi stała przecięta na pół beczka, służąca jako ubikacja. Nie miałem na nią żadnego przykrycia i tak musiałem w tych smrodach się męczyć.

Dlaczego tyle tam siedziałem, nie wiem, może wysyłali jakieś dokumenty, żeby zatwierdzić skazanie? Proszę sobie to wyobrazić – trzy miesiące w celi śmierci, w mroku, z wymalowaną trupa czaszką na ścianie. A ja byłem wtedy tak bardzo młody.

W nocy słychać było jak maszyna zbrodni zaczyna pracować. Około 1.00 po północy zaczynał się szum na korytarzu. Przychodzili, wywoływali po pierwszej literze nazwiska. Skazańcy pytali się po kolei, czy to o nich chodzi. Za kolejne dwie godziny przychodzili ponownie. – *Sabieraj się z wieszczami!* Cienie skazanych na śmierć gromadziły się z tłumocz-kami w linii *licom k stienie*⁶. Słychać było dalsze pospieszne kroki na korytarzu, przekleństwa strażników i krzyki więźniów. Nagich skazańców, trzymających pod pachą węzełki odzieży, wpychano do samochodów z napisem *Awtoławka*⁷. Rury wydechowe skierowane do wewnątrz kabiny, w której stłoczono skazańców, w krótkim czasie dokonywały dzieła. Trupy zakopywano w Ponarach, znanych już wcześniej z masowych egzekucji.

W celi niektórzy wariowali, wyli i krzyczeli. Ja to wszystko na zimno przyjmowałem. Dużo by opowiadać, w każdym razie przetrwałem i to. Teraz też wiem, że za niedługo umrę i wszystko muszę tu zostawić. W każdej chwili serce ma prawo stanąć. Chociaż są i teraz takie momenty, kiedy czuję, że się duszę i mrówki lecą po głowie. Ale taką mam naturę, że się nie przejmuję. W końcu dostałem szansę. Zaproponowano mi napisanie prośby do Kalinina, przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR, o zmianę kary śmierci na więzienie.

W nocy zawsze brali na rozstrzał. Do mnie też przyszli. Zapukali w drzwi. – Jest ktoś na P? Mówię, jest Pietkiewicz. Poszli i za dwie godziny przyszli znowu. – *Sabieraj się z wieszczami*⁸. Wyprowadzili na korytarz. – *Licom k stienie*⁹ Pod ścianą leżało 20 ubrań skręconych. I na każdym tłumoczku kartka. Nie z nazwiskiem, ale z numerem. W końcu powiedział: – *Odwiernis*¹⁰ – *Dieduszka* Kalinin ciebie pomiłował, zamienił wyrok śmierci na 25 lat ciężkich robót w dalekich krajach *Sowieckowo Sajuza*. Do tego konfiskata mienia twojego i twojej rodziny. Dwadzieścia lat jeszcze pożyczysz, a potem i tak zdechniesz jak pies. I mówi dalej: – *Starszina* zaprowadź go do piwnicy na prawo. A tam były już inne, etapowe cele. Kiedy stamtąd wyszedłem, to prawie na oczy nie widziałem.

VII. Droga na Workutę

W celi etapowej siedział cały internacjonał. Rządził nią taki jeden ataman. Spytał się, czy wyszedłem z „wyszaka”¹¹. Powiedziałem, że tak. – *Nu i kak? Ubił kawo?*¹². – Ja nikogo nie zabiłem – mówię. – Złapali, przywieźli, tu posadzili i wyrok dali. – *Aaa, my wsie taki*. Zabraniał potem innym więźniom mi dokuczać. Ale właściwym dowódcą celi był strach, każdy bał się tak naprawdę każdego. Spędziłem tam tydzień, może dwa. Szykowali etap. Przed samym Bożym Narodzeniem, w nocy, żeby ludzie nie widzieli, popędzili nas z więzienia na stację. Szliśmy ósemkami, bocznymi, wąskimi ulicami. Kolumna ciągnęła się na nie mniej

⁶ Twarzą do ściany.

⁷ Sklep objazdowy.

⁸ Zabieraj się z rzeczami.

⁹ Twarzą do ściany!

¹⁰ Odwróć się.

¹¹ Kara śmierci, nazwa bierze się od „najwyższy wymiar kary”.

¹² No i jak? Zabiłeś kogoś?

niż 800 metrów. Z przodu jechał zis, na nim stał maxim, ciężki karabin maszynowy z dwu - osobową obsługą. Z przodu i po bokach, konno, enkawudziści, jeszcze wtedy w szpiczastych czapkach, dokładnie naciągniętych na uszy. Jechali ciasno, przy samych kolumnach. Poprowadzili ku stacji towarowej. Koło niej rozpościerał się duży plac. Zebrali nas tam ze 2500 chłopów. Śnieg padał. Pociąg stał już gotowy.

Rozbłysły reflektory.

Krótką, syczącą komenda – *Łożyssss*.

Wszyscy nosem do lekko ośnieżonej, zabłoconej ziemi.

Podjeżdża zis, w nim generał major. Widziałem z daleka te lampasy, takie czerwone, jak dziś pamiętam.

– Gady, was trzeba było rozstrzelać. Ale nasze państwo wyszło z tego założenia, że wy jeszcze pożyjecie. Będziecie pracować, dacie korzyść państwu. A stamtąd, gdzie was wysy - łamy, powrotu dla was nie ma, i tak wszystkich was trzeba *unicztożyć*.

Mówił krótko, po czym wsiadł do samochodu.

Zaczął się załadunek. Wagony towarowe – po 100 osób do każdego. Zaganiając nas do wagonów, bili kolbami. Wydawało się, że czekistów jest więcej niż więźniów. Wnętrza zostały ciasno załadowane. Może nawet lepiej, że byliśmy tam tak bardzo ściśnięci, bo ogrzewaliśmy się wzajemnie w tych nieocieplonych drewnianych ścianach.

Transport ruszył. Za Podbrodziem skierował się na Smoleńsk, Wiaźmę, Wielkie Łuki, Jarosław i dalej na Workutę. Nie musieli nas przeładowywać, bo Sowietci błyskawicznie po wypędzeniu Niemców poszerzyli tory na swoją szerokość.

Raz na dobę dawali jedzenie. Pociąg stawał w otwartym polu, z dala od zamieszkanego miejsc. Po godzinie lub dwóch pojawiali się ludzie prowadzący konie załadowane chlebem i rybami. Jaka ponura drwina z biblijnego cudu rozmnożenia! To wszystko byli enkawudziści. Dostawaliśmy 50 takich foremkowych chlebów na 100 osób i po rybie na dwóch – flądra lub dorsz z beczki, mocno solone. Pić się po nich chciało strasznie, wody nam nie dostarczano. Robili to oczywiście celowo, żeby nas szybciej wykończyć. Ludzie lizali oblodzone, słone od potu ściany. Czasami na postojach wrzucali łopatami śnieg do środka i jadło się go zamiast wody. Na każdym postoju czekiści sprawdzali, czy nie łamiemy podłogi, wchodzili pod pociąg w specjalnych kombinezonach. Przepędzali nas również z miejsca na miejsce w wagonie i li - czyli, bijąc drewnianymi młotkami, a trzeba przyznać, że bili mocno. Wagony dla tych wszystkich czekistów przeznaczonych do ochrony transportu podczipione były z tyłu pociągu.

VIII. Moje życie w łagrze

Do Workuty przyjechałem w marcu 1945 r. Zakwaterowali nas tam w nieogrzanych, zadaszonych barakach. Na początku nie pracowaliśmy w kopalni. Całą zimę ryliśmy rowy pod fundamenty innych budynków. Mróz dochodził do 40–50 stopni. Dali nam fufajkę, czapkę i rękawice. Rosjanie przywozili końmi węgiel z kopalni, czasami zamiast koni używano do ciągnięcia sań ludzi. Węgiel wysypywało się w równe linie, tak jak miały być wykopane rowy, i podpalano go. Gdzieś po 2–3 godzinach ziemia odmarzała na pół stykówki. To, co odmarzło, usuwało się łopata, resztę trzeba było kuć. Następnie sypało się kolejną warstwę węgla i tak powoli posuwała się robota. Potem budowaliśmy baraki, wtedy nauczyłem się wstawiać i uszczelniać okna.

Po trzech miesiącach wzięli mnie na kopalnię nr 6. Moja zona była jakieś 40 kilometrów w stronę Morza Karskiego od właściwej Workuty. Na miejsce przeznaczenia popędzili nas na piechotę po zmarzniętym śniegu. Nogi nie grzęzły, bo jego powierzchnia była porowata po purdze. Miałem wtedy jeszcze młode, silne kończyny i nie stanowiło to dla mnie problemu.

Tam zaczęli nas szykować do podziemnej roboty. Byłem tam jednym z najmniejszych i najchudszych. Zainteresował się mną kierownik *uczciastka*, kierownik brygady *gazomierszczyków*. Był to Niemiec, na nazwisko miał Łobis, przynajmniej tak na niego mówiono. Powiedział do mnie:

– Ty za młody jesteś i za słaby, żeby pod ziemią kopać węgiel. Przed tobą całe życie, może stąd wyjdiesz? Wezmę ciebie do mojego *uczciastka* i nauczę zawodu. Nie będziesz węgla przewracał łopatą, to może przeżyjesz.

Jeszcze słabo mówiłem wtedy po rusku i on źle gadał w tym języku, używał raczej niemieckich słów. Był to starszy, niski człowiek, też po wyroku politycznym. Może służył jako żołnierz? Tak w każdym razie wyglądał. Nie rozstrzelali go, bo pewnie nieszkodliwy był, może gdzieś na kuchni pracował. Zaczął mnie szkolić w obsłudze Lampy Wolfa. Pokazał jak mierzy się gaz, żeby uniknąć wybuchu. W lampie płonął mały płomień, na szkłe wyrysowana była skala. Jak pojawia się metan, płomień robi się niebieski i mierzy się jego wysokość oznaczającą stężenie gazu. Kiedy płomień przekroczy 18–20 jednostek, trzeba natychmiast uciekać. Nauka zajęła mi tydzień, po czym Niemiec zabrał mnie, tak jak zapowiedział, na swój *uczciastek*. Miał tam trzydziestu *gazomierów*, ja zostałem przyjęty do brygady jako trzydziesty pierwszy. Zjeżdżałem do kopalni i poza mierzeniem gazu musiałem pilnować górników, by nie palili papierosów. Skądś je mieli, przed wejściem do kopalni rewizji już nikt nie robił. W kopalni jak już ktoś zapalił, to od razu wszyscy czują, bo dym roznosi się razem z powietrzem. Stwarza to też ogromne niebezpieczeństwo – kiedy już nastąpi zapłon gazu, to płomień również potrafi się przenieść pod ziemią na kilka kilometrów. Wybuch metanu może powstać nawet od zimnej iskry.

Łobis mnie ostrzegł:

– Jak ktoś pali, to nie zwracaj mu uwagi. Nie mów tego nikomu poza mną. Uważaj na siebie, bo jak zobaczą, że donosisz, to cię zabiją. Niech już lepiej palą. Jak będzie za dużo gazu, to po prostu wyprowadzaj ludzi. To taka raczej policyjna, dyskretna robota.

Szachta nr 6 jako jedna z niewielu położona w obrębie miasta, chociaż na jego obrzeżach, była stara, miała windę, ale taką do wożenia węgla. Piechotą trzeba było pokonać 180 schodów, a jeszcze na plecach należało nieść narzędzia. Starsi zostawali pod ziemią. Liczyłem w pamięci – przeszedłem 50, czyli jeszcze 130. Razem 180 schodków i to pod nachyleniem około 45 stopni! Były tam zamontowane dwie poręcze z drzewa, które pełniły ważną rolę. Na schodach ciemno i stromo, jak się poślizgnie noga, leciysz łbem w dół, aż się zatrzymasz na innym robotniku. Jak już znalazłem się na dole, musiałem w ciągu 8 godzin przejść ze 30 kilometrów. Z lampą przed sobą trzeba było stale badać ten poziom gazu. Na górę wyjeżdżało się windą ciężarową, a na zjazd i wyjazd była ściśle odliczona ilość czasu. Jak w ciągu godziny nie wyjdiesz, to zostaniesz pod ziemią. Mnie się to nie zdarzyło, punktualny byłem bardzo i zostało mi to do dzisiaj.

Na kopalni nr 6 przepracowałem łącznie 4 lata. Pracowałem w niej jeszcze jak szczury wychodziły z Workuty. Potem w dokumentach mi tego nie odnotowali. Lata pracy się zgadzają, ale nie ma napisane nic o tej kopalni. W roku 1949 przeszedłem do kopalni nowocześniejszej – nr 27. Brakowało tam ludzi, więc zabrano nas około 200 i przepędzono na piechotę do nowej zony. Przepracowałem w niej lat 5. Początkowo jeszcze ze trzy miesiące chodziłem z lampą. Potem wysłali mnie na podziemie do transportu węgla. Powiedzieli mi:

– Nie musisz być szkolony, bo mierzyłeś gaz i widziałeś jak ludzie pracują. A jak zginiiesz, to pies ci mordę lizał, nie będziemy cię żałować.

Faktycznie przez 4 lata miałem okazję, by się poprzyglądać. Krótko pracowałem też jako *adbojszczyk*. Z czasem zacząłem pracę jako *sortirowszczyk* węgla pod ziemią i na powierzchni

i tak zostało przez ostatnie cztery lata. W każdym razie do końca mojego pobytu w Worku - cie byłem już cały czas na 27.

IX. Zona

Zona składała się z 20 baraków, kuchni i dużej stołówki. Znajdował się też budynek za-plecza kuchennego, służący też jako magazyn. Było to miejsce ważne – towar przywozili na saniach co jakiś czas i musieli go przechowywać w bezpiecznym miejscu. Inaczej więźniowie, nie oglądając się na nic, po prostu porozbijaliby beczki i wzięli wszystko, co nada- wało się do jedzenia.

Baraki budowano z drewna. Celowo były niskie, żeby purga nie zniosła. Wichura zano- siła baraki śniegiem całkowicie, aż po dach. Teren na obóz nie został wybrany przypadko- wo – łagier znajdował się w dolince, formującej pewnego rodzaju wnękę, która zasypana śniegiem czyniła obóz praktycznie niewidocznym. Budynki kopalniane stały natomiast na otwartym polu, za pagórkiem. Chałupa, w której mieszkali strażnicy, znajdowała się oczy- wiście poza zoną.

Zona otoczona była podwójnym pierścieniem z drutu kolczastego, poprzątanego lic- znymi ambonami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Uzbrojonych ambon było sporo. Na każdym odcinku od 3 do 6. Łącznie co najmniej 12. Do każdej z nich podciągnięty był prąd. Między drutami biegały specjalnie tresowane, wypasione psy.

X. Jeden dzień Tadeusza Pietkiewicza

Od trzeciej w nocy ci z LFT¹³ zabierali się do wykopywania korytarzy, by można było wyjść z baraku i dojść do kopalni. Dostawali oni po 600 g chleba dziennie. Władze liczyły, oczywiście dużo na wyrost, że będąc cały dzień w obozie, mogą otrzymywać dodatkowy talerz zupy za pomoc w kuchni. Ale prawda była taka, że nie żyli oni długo... LFT były róż- ne rodzaje – ale śnieg odgarniali przeważnie ci bez jakiejś kończyny lub tacy, co mieli po wypadkach kończynę bezwładną albo źle zrośniętą.

W barakach znajdowały się piecyki – kozy na trzech nóżkach, bańka na wodę i pryzma węgla. Poza tym ucięta beczka, służąca jako ubikacja. W budynku przebywało nas około 200–250 osób. Wewnątrz stały dwupiętrowe prycze i zбитy z deski ukośny podgłównik. W nocy w barakach panowało potworne zimno. Spaliśmy szczelnie przytuleni jeden do dru- giego, ogrzewając się wzajemnie. Zdarzało się jednak również tak, że przytulałeś się do ko- goś, by się ogrzać, a to już zimny trup.

Do snu nie mieliśmy żadnego prześcieradła ani koca. Spaliśmy oczywiście w tym ubra- niu, w którym chodziliśmy w dzień. Pobudka – *podjom* o piątej rano. Potem, [po] wstaniu, nacieraliśmy się śniegiem i zakładaliśmy fufajkę. Po takim zabiegu ciało robiło się czerwone i mróz potem nie brał. Owa fufajka – inaczej buszlat – stanowiła nasz podstawowy strój. Był to rodzaj kurtki podbitej brudnym filcem, najpewniej z odpadów, zszytym podwójnym ściąganiem. Miała krótki kołnierz i w sumie nic więcej. Była dosyć gruba, ciepła i nieprze- wiewna. Spodnie szyte podobną techniką, watowe. Na lewym kolanie znajdowało się wy- cięcie, 15 na 30 cm, podobne na plecach i na czapce. Na te wycięcia naszywano łaty, na któ- rych białą farbą rysowaliśmy numery. Codziennie trzeba było pilnować, żeby były z daleka widoczne, za niewyraźny lub niewidoczny numer mógł grozić nawet karcer. Prześladował mnie za to szczególnie niejaki Lizowski. Mimo polsko brzmiącego nazwiska nie był to Po- lak, ale Ukrainiec z bandy UPA. Przyczepiał się, że mój numer jest niewidoczny, i groził.

¹³ *Liogkij Fiziczeskij Trud* – Lekka praca fizyczna.

Co on mi życie naumila! Już z daleka wołał: – *Ю-651 ка мне! – В чиом диело начzial - ник? – Nomiera niet, nomier niewidimyj, napisat'.* Drug drugu napiszet, a ty stoj. Biez nomiera nie pojdziesz otsjuda¹⁴. Ale od karceru jakoś się wywinąłem.

Fufajkę więzień dostawał tylko raz, nie było praktyki regularnego jej wymieniania. Jak zatem ktoś stracił swój ubiór, to zabierał słabszemu, kradł komuś lub po prostu brał, kiedy ktoś zapomniał i zostawił. Było to trochę tak jak w sowieckim wojsku, gdzie jeden drugiemu pas ukradnie, mundur podmieni lub buty. Nic dziwnego, że w takich warunkach ci naj-słabsi umierali bardzo szybko, nawet po kilku dniach.

Goliliśmy się najczęściej kawałkami szkła, gdy się je dobrze ułamało, świetnie spełniały swoją funkcję. Nie było w obozowym stylu paradować po zonie nieogolonym albo z brodą. Czekiści zwracali na taki zarost uwagę, a jak u kogoś znaleźli ułamek ostrego szkła, to przymykali na to oko. Włosy golono co miesiąc maszynką do samej skóry.

Po porannych zabiegach higienicznych ogłaszano przygotowanie do wyjścia na stołówkę. Przedtem robiono jeszcze krótki apel, gdzie nas liczono. Na śniadanie otrzymywało się zupę (*balandę*) i chleb – według kotła z poprzedniego dnia. Obiad natomiast już z tego dnia, co się wypracowało.

Bezpośrednio ze stołówki szliśmy do *kontrolnq*. Nasze wychodzenie do pracy było regulowane tzw. *kartocznoj sistemoj* – każdego dnia drobiazgowo sprawdzali stan brygad przy wejściu i przy wyjściu z zony. Gromadziliśmy się w jednym końcu sali, oddzielnie każda brygada, ustawiona jedna za drugą. Na poszczególne brygady przyszykowane były wodo-odporne torebki. W nich znajdowały się 24 sztywne kartki. Z kartek wyczytywano nasze numery: – *Nomier dzieła Ю-651 prachadzi, Ю-24 prachadzi, Ю-16 prachadzi...* Ludzie, których numery wyczytano, ustawiali się w określonym porządku po drugiej stronie pomieszczenia i formowano ich ponownie w stojące w równych szeregach brygady. Kiedy już dana brygada była policzona, czekista przekazywał karty kolejnemu, stojącemu po drugiej stronie konwoju i mówił: – *Prinimaj brigadu 24 czieławieka*. Gdy gdzieś ktoś się podział, to od razu szukali, a jak już raz nabrali podejrzeń co do jakiejś osoby, to później mieli ją na bacznej obserwacji.

Droga z zony do kopalni miała około trzech kilometrów długości, przejście jej zajmowało nam około pół godziny. Do szachty szliśmy korytarzem w śniegu, wiatr wiał, ambony obsadzone przez czekistów stały po bokach, po obu stronach drut kolczasty, żeby zminimalizować ryzyko ucieczki. Warto pamiętać, że w Workucie są tylko dwa miesiące bez śniegu. Wokół kopalni również wydzielono ogromną zonę i tam też wszędzie stały ambony. Naprawdę nie było szans uciec, no chyba że ktoś chciałby zginąć... Samobójstwa się zdarzały. Ci, którzy się na to zdecydowali, najczęściej rzucali się do szybu kopalnianego. Na dole po człowieku zostawała tylko plama, bo otchłań głęboka była na około kilometr.

Po dojściu do kopalni trafialiśmy na następną *kontrolnq*. Tam czekista kwitował przyjęcie ponownie przeliczanych brygad. Całe te procedury trwały bardzo krótko. Czekiści doszli w nich do dużej biegłości. Poza tym dysponowali tam telefonami i również tą drogą kontaktowali się w razie potrzeby.

O siódmej udawaliśmy się pod ziemię. W kopalni nr 6, w której pracowałem na początku, schodziło się piechotą, pochylnią pod kątem 40 stopni; w nowej, [nr] 27, zjeżdżało się już windą. Do jednej wchodziło 50 osób. W około godzinę na dół zjeżdżało 2500 ludzi. Pierwsza zmiana kończyła pracę przed 18.00.

¹⁴ JU-651 do mnie! O co chodzi naczelniku? Nie ma numeru, numer niewidoczny, namalować go! Jeden drugiemu niech namaluje, a ty masz stać. Bez numeru nigdzie stąd nie pójdziesz.

Umyć można się było w kopalni – tam znajdowały się prysznice. Były to odcinki rury długie na około 50 metrów, na których znajdowało się około 35 natrysków zamontowanych na stałe. Naraz myło się około 100 osób. I tak z kopalni wychodziliśmy brudni jak diabły. W umywalni siedział inwalida z LFT – kaleka bez nogi albo bez ręki, trzymał czerpak pięciogramowy i wydawał mydło w płynie. Włosów myć nie musieliśmy, były regularnie strzyżone. Twarz się myło, ale pod oczami zostawał czarny węglowy kurz. Podobnie uszy pozostawały niedomyte. Woda ciepła była tylko od czasu do czasu. Zdarzało się, że celowo ją zakręcali i puszczali samą zimną. Myliśmy się wtedy trochę, to co się dało, i szybko uciekaliśmy. Podkreślam, że komuniści robili to celowo. Skarżyli się więźniowie na to na apelach, ale nie chciano ich słuchać. – Co ci się nie podoba, odpowiadali – Czy to wczasy? To łagier, więzienie! Na dworze mróz 50 stopni; jeżeli wodę puści się gdzieś w granicach 10 stopni ciepła, a potem w dodatku zupełnie zimną, wręcz lodową, to jak wyjdiesz na mróz mokry, woda zmieni się na tobie w lód i zamarznie jak pies. Ale często musieliśmy sobie i z tym radzić. Ubranie należało wywiać, bo też przeważnie było mokre.

Po wyjściu z kopalni szliśmy na stołówkę w zonie obozowej. Była dość duża, tury liczyły po 500–600 osób. Wracaliśmy do niej w ten sam sposób. W obozie czekał na nas obiad, według kotła, który się wypracowało tego dnia. Po obiedzie od razu zamykano nas w barakach. Niedługo potem szliśmy spać. Przeważnie po pracy nie mieliśmy nawet siły, by chodzić. Jednym słowem sen był najrozsądniejszą alternatywą. Zimno, nie zimno, ale kładliśmy się, zakręcaliśmy w buszlat, przytulaliśmy do siebie i tak spaliśmy. Ale w tym krótkim okresie wieczora więźniowie rozmawiali między sobą, każdy zawsze coś tam gadał. Generalnie rozmowy były o niczym. Wśród więźniów politycznych jeden drugiego się bał. Szczególnie niebezpieczna była krytyka naszych „przełożonych”. Wszyscy wiedzieli, że za każde negatywne słowo o *nadzieracielu* sprzątną od razu.

Czasem więźniowie nawet pożartowali. Zresztą była to pewnego rodzaju konieczność, bo inaczej nasze życie nie różniłoby się już niczym od powolnego konania. Trzeba pamiętać, że byłem tam dziewięć lat, to nie miesiąc i nie dwa, to naprawdę kawał czasu. W łagrze mieliśmy też książki. Biografie Marksa, Engelsa i Lenina oraz ich dzieła. Księży tam nie było, przynajmniej nic o tym nie wiem. Jeden bał się drugiego, nawet jakby byli, toby się nie przyznali. Gdyby ruskie wiedzieli o ich tożsamości, toby ich po prostu zakrakali.

Nie było tam w sumie żadnych rozrywek. No chyba że domino z chleba lub karty z kartoników po materiałach wybuchowych. Kobiety przebywały w oddzielnej zonie. Wolnych dni nigdy tam nie mieliśmy. Niedzieli oczywiście żadnych też nie. Dni były identycznie podobne jedne do drugich.

XI. Moje choroby

Mało tlenu, suche jedzenie, mordercza praca, mróz. To potrafi człowieka dość szybko wykończyć. Nic dziwnego, że śmiertelność była tam niezwykle wysoka. By jednak wprowadzić w to umieranie jakiś porządek i zachować sprawność ludzi-narzędzi na dłuższy czas, zbierała się co dwa miesiące komisja przydzielająca odpowiednią grupę roboczą. W jej skład wchodził ktoś i ludzie przez nich wytypowani. Ci drudzy musieli się trochę znać na medycynie, może nawet był wśród nich lekarz lub felczer, chociaż nikogo w fartuchu tam nie widziałem. Rozbierał się człowiek do naga i odwracał do komisji tyłem. Komisja dokonywała oglądu pośladków. Jeżeli były jędrne i zaokrąglone, jeżeli było w nich mięso, przyznawano kategorię TFT (*tjažołyj fizyčeskiej trud*)¹⁵. Jeżeli natomiast pośladki wisiły zmarniałe

¹⁵ Ciężka praca fizyczna.

i sflaczałe, a ludzie ledwo się na nogach trzymali, odstawiano ich do baraku, by nabrali wagi. Trupów z kopalni też nie chcieli wyciągać. Kategorie były takie: TFT, LFT, grupa III – kasacja, nie żyje. Co miesiąc uzupełniali stan liczebny załogi, bo w kopalni nieustannie ginęli ludzie. Codziennie średnio dwie, trzy osoby. Na to nikt uwagi nie zwracał, tylko dawaj *bystriej, bystriej*, aby węgla więcej wydobyć.

Po ciężkiej robocie w kopalni, marnym jedzeniu waga człowieka szybko spada (u mnie o ponad 5 kilo, a nigdy nie byłem przy kości) i bardzo się słabnie. Jadłem tam śnieg, do pasa się nim na mrozie nacierałem i w zasadzie nie chorowałem. Zdarzyło się jednak po około 5–6 latach od przyjazdu, że pracowałem na ścianie węgla prawie na leżąco i nieustannie ciekła na mnie woda. Mokry byłem jak szczur. W końcu poczułem, że jest ze mną bardzo źle – poprosiłem, żeby mnie wynieśli na noszach. Czekała się zgodził. Okazało się, że to zapalenie płuc. Przez cztery dni nie byłem w stanie się w ogóle ruszać. Z miesiąc czasu się kurowałem, ledwo wyszedłem z tego żywy. Szpitala nie było żadnego, LFT wrzucali śnieg do kotła i z kuchni przynosili mi w puszkach gorącą wodę. Młody byłem, to wytrzymałem. Bardzo ważna była też psychika – jak się załamiesz, to nie pomoże tobie żaden lekarz ani nikt inny.

Poza tym miałem odmrożone uszy, operowali mnie jeszcze w Rosji (na żywca), oraz palec na lewej nodze. Znakiem, że się jakaś część ciała odmraża, jest szczypanie jak piekło, to znaczy, że zamarza. Problemem był też gęsty, węglowy pył stale unoszący się w kopalni. Długi czas po wyjściu na powierzchnię tym węglem się pluło. Z jego powodu cierpiały też oczy. Kiedyś miałem je absolutnie zdrowe jak u wilka, zaproszone tym kurzem szczypały coraz bardziej i kłuły. W końcu również skóra na mojej twarzy stała się cała napięgowana węglem, prawie czarna. Do dzisiaj pozostały po tym na niej dziury. Kurz węglowy wpijał się w ciało tak, że później jak już przyjechałem na Syberię, to siostra mi go godzinami wyciskała. Dopiero po tych zabiegach twarz zrobiła się czystsza. Podobnie ręce pozostawały stale brudne i czarne. Od ciężkiej, fizycznej pracy skóra stała się na nich twarda jak podeszwa i do dzisiaj taka pozostała. Nawet jakby ją próbować przeciąć nożem, to krew nie od razu pójdzie. Od tamtego czasu nie miałem też nigdy odcisków. Tak się te ręce po prostu przystosowały, krótkie i szerokie dobrze służyły mi pod ziemią. W tym wieku wszystko wytrzymywałem, człowiek był obojętny i pewien siebie, ale lata swoje robią i moje zdrowie zaczyna się teraz powoli psuć.

Dla mojego przetrwania podstawowe znaczenie miały moja wola życia oraz warunki fizyczne – wytrzymałość i zdolność organizmu do regeneracji, a także szczęście – to, że trafiłem do mierzenia gazu zamiast od razu do węgla i pewnie szereg innych korzystnych przypadków. Nie na ostatnim miejscu pozostaje fakt, że jestem niskiego wzrostu i nie rzucałem się w oczy, nie wtrącałem się, w ogóle byłem mało zauważalny. Takich chłopów mocno zbudowanych i zdrowych ruskie się bali. Czekiści nie mogli wchodzić do zony z bronią. Na wartowni jej też nie mieli. Znajdowała się jedynie na ambonach, których broniły karabiny maszynowe. Miało to swoje uzasadnienie. Czekaista, który by miał w zonie broń, narażał się, że któryś z tych wysokich, potężnie zbudowanych chłopów, wśród których wielu było zwykłymi kryminalistami, zabierze mu ją, w dupę nakopie i po prostu zastrzeli.

XII. Organizacja pracy w kopalni

Za każdy pokład węgla odpowiadały poszczególne brygady. Ściany bywały przeważnie długości około 100 metrów. Brało się tyle, ile maszyna sięgnęła. Kopalnia pracowała na trzy zmiany, bez żadnej przerwy. Jak brygada jest dobra i zgrana, a do tego trafi na dobrą ścianę, to może wyrąbać całkiem sporo węgla. Normę ustalono na 450 ton wydobytych przez 24 ludzi w czasie 8 godzin. Parametry te nie obowiązywały wszystkich – pierwsza zmiana była bowiem *podgotawljajuszczaja*, a dopiero dwie następne *dobycznyje*.

Nocna zmiana trwała od 22.00 do 6.00 rano. Te uważaliśmy za najgorsze. Mało która z nich wydobywała węgiel. Przeważnie były przygotowawcze. Ja w takich zmianach brałem udział jako *gazomierszczik*. Brygady zatrudnione na przygotowawczych były liczniejsze niż wydobywcze. Pełniły one niezwykle ważną rolę, na koniec ośmiu godzin ich pracy wszystko powinno być zapięte na ostatni guzik. Jak się dobrze sprawiły, to też mogły uzyskać 120 [proc.] normy. By wyrobić normę, zmiany *dobyczyje* nie mogły sobie pozwolić na stratę nawet 5 minut. Kolejne brygady zapuszczały od razu maszyny i czarna struga miała płynąć wartkim strumieniem. Pierwsza brygada doboyczna wstawała o 5.00 rano i wracała do zony popołudniu. Droga do kopalni, zejście na dół, formalności, mycie powodowały, że dla jednej zmiany schodziło w sumie gdzieś około 12 godzin.

Przy pracy człowiek też musiał przy tym dać z siebie wszystko. Tył fufajki robił się bardzo szybko biały od słonego potu. Tworzył coś na kształt ceraty na plecach, która w końcu pękała. Oczywiście po jakimś czasie dawali nową, ale tymczasowo zszywało się ją drutem tak, by nie szorowała karku i pleców.

Po wyczeniu, ile dana brygada wyrobiła normy, ogłaszano, do jakiego kotła ją tego dnia przydzielają. Kocioł to po prostu ilość jedzenia, jakie otrzyma się przez najbliższe 24 godziny. System kotłów był jednym z kamieni węgielnych systemu. Kotły były przydzielane całym brygadam: *Brygada nomier takoj, sdielala takuju normu, brygada 24 norma 120 sdzielana, ucziastok nomier siem stolko procentow*¹⁶. Wszystko pisane kredą na tablicy, jak wyjeżdżało się na górę, wyrok widziało się od razu.

Po zakończeniu pracy lampę należało zdać do akumulatorni, za nią otrzymywało się swój numer i na jego podstawie można się było dopiero iść kąpać. Na drugi dzień pod tym samym numerkiem należało pobrać ją ponownie oraz różne metalowe baterie i kask. W owym kasku znajdowała się mała zapadka, w którą wkładało się baterię. Gdy była dobrze naładowana, starczała na siedem lub osiem godzin. Łącznie spędzało się pod ziemią około dwięciu godzin. Po skończonej robocie należało tak uporządkować warsztat, żeby następni mogli od razu zaczynać.

XIII. Ludzie – narodowości

Sądzę, że łagier mógłbym porównać do tramwaju do nieba. Wielu ludzi wchodziło do niego na krótki czas i dość szybko wysiadało na przystanku wieczność. Zimno, głód, chłód, nieszczelna instalacja, windy, kolejki, wszelkiego rodzaju maszyny górnicze. I pylica, śmiertelny towarzysz górników.

Ale ten tramwaj zwany kopalnią nie jechał tylko w tym kierunku – ludzi przerzucali z kopalni na kopalnię, z jednej kategorii do drugiej (przypominam: LFT, TFT, III grupa – kasa-cja, nie żyje), z łagru do łagru. Do lat pięćdziesiątych rzadko na wolność. Fakt faktem, że ludzie pracujący obok na kopalni tak często się zmieniali, że czasami tydzień kogoś widziałeś, a potem ten ktoś zniknął i nie wiedziałeś, gdzie się podział ani co się z nim stało. Były tam masy, nieprzebrane tysiące ludzi. I co jeden to inny, różne rysy twarzy, różne rasy, inny wygląd. Niemcy nadwołzańscy, Ukraińcy, Białorusini, sporo Litwinów, Łotyszy i Estończyków, Finów i Uzbeków, nieco Mongołów, sporo Czechenów. Ruskich i Polaków z kolei nie aż tak dużo. Naszych wozili raczej na jeszcze niższy krąg piekła – na Magadan. Finowie byli po wojnie karelo fińskiej, z linii Mannerheima. Czechenów było również bardzo dużo. Przeważnie pracowali oni na pierwszym horyzoncie wentylacyjnym przy koniach. W zasadzie oni zajmowali się wyłącznie końmi, a Rosjanie nie za bardzo mogli sobie z nimi dać radę.

¹⁶ Brygada numer taki a taki wyrobiła taką normę, brygada 24 wyrobiona norma 120 proc., odcinek nr siedem tyle procent.

Było tam również sporo młodych rosyjskich żołnierzy z formacji kolaborujących z Niemcami i z niemieckiej niewoli. Kiedy wojna się skończyła, Żukow wygłosił przemówienie: „Towarzysze! Wracajcie, bo na was czekają matki i żony, nasz rząd wam wszystko daruje!”. We wschodniej części Berlina Rosjanie przygotowali kilka okratowanych pociągów, i zaczęli ich ładować do wagonów. Skazano ich za zdradę ojczyzny, dali po 25 lat kadem i wywieźli, wywozili na Workutę. Właściwie za takie przestępstwo władza sowiecka dawała czapę, ale potrzebowała niewolników do pracy. Do kopalni wysyłali też wojskowe *sztrafbaty*¹⁷, ale w latach pięćdziesiątych zaczęli je stamtąd ściągać. Żołnierze z takich oddziałów mieszkali w innych obozach i stamtąd doprowadzano ich do kopalni. Zdeklarowani przestępcy i kryminaliści, aż strasznie było z nimi rozmawiać. Jakby coś im się nie spodobało, dostaniesz w głowę, w taśmociąg wrzucą i nie ma ciebie.

XIV. Kobiety

Kobiecość była tam początkowo obecna, ale jakaś wykoślawiona, zredukowana do zwierzęcych instynktów, skażona męskością, skażona nieszczęściem... Nie towarzyszyła ona nam zresztą zawsze. W pierwszych latach mojej niewoli, zaraz po wojnie, często je widywałem. Pracowały w kopalni razem z nami; one pokutowały za swoje winy, my za nasze. Takie ładne, które za Niemca były kelnerkami i dolmeczerniami, u sowieckich zwycięzców nie znalazły litości. Ale przedziwnie, nawet wtedy, wśród karnej zimy w jakiś sposób tych Niemców popierały. Tamtejsze kobiety, szczególnie dużo Ukrainek, były niejako podwójnie zgwałcone – przez wojnę i przez pokój. Przez obcych, przez wrogów i przez swoich, przez wyzwolicieli. Zresztą tam, w tym ogromnym przemieszaniu win i narodów, podziały tego typu nie miały sensu. Wyzwoliciele i ciemieczcy pospołu ginęli w mrozie i śniegu, z głodu i wypadków. Kobiety ginęły chyba nawet częściej niż ci ciemieczcy i wyzwoliciele, więc w niedługi czas po moim przybyciu zaczęło ich na kopalniach brakować.

Kobiety potrzebowały mężczyzn, a na dole w kopalniach było ciemno i byli mężczyźni. Kobiety miały nadzieję, że jak będą miały dziecko, to się stamtąd oswobodzą. I po pewnym czasie dla naszych wyzwolicieli-strażników tych dzieci w Workucie zaczęło robić się za dużo. Pobudowali zatem taki barak, *dziet'sad*¹⁸, ale co się później stało z jego mieszkańcami – nie wiem. W końcu kobiety z kopalń, z czerni, zostały wyrzucone w biel, do czyszczenia śniegu na torach. Po 1946 r. zostaliśmy tam sami, gdzieś w głąb Rosji wywieźli tę całą zgwałconą kobiecość. W głąb, czyli na południe. Nie wiem, czy zrobili to z ludzkiego odruchu, czy z powodu tych dzieci, czy jakiegośkolwiek innego, może nawet całkiem złego. W każdym razie wywieźli. I zostaliśmy tam sami...

XV. Czekiści

Czekiści, których spotykałem, to najczęściej zimni, wysoko kształceni zawodowcy, bystry ludzie. Szkolono ich w specjalnych czekistowskich szkołach, o znanym nam skądinąd skrócie FSO (w ZSRR znaczyło to Szkoła Wychowania Fizycznego). Brali ich – nierzadko z biednych rodzin – do wojska po tym, jak skończyli siedem klas podstawówki. A tam już skutecznie kuli ich na swoje kopyto. Po takiej obróbce nic takiemu człowiekowi nie przetłumaczysz, jak będzie trzeba ojca i matkę zdradzi. To już jest zwierz. Takiego się nie kupi, z takim nie ma co dyskutować, po prostu zaraz będzie strzelał.

Ale i ci rzemieślnicy workucińskiej przemocy, a często jej wirtuozi, też przecież byli ludźmi. I w nich uderzało tamtejsze piekło. Też podlegali rygorom, również ich, choć w mniejszym stopniu niż nas, paliło zimno nieugaszone.

¹⁷ Bataliony karne.

¹⁸ Przedszkole.

W obozie była taka komórka specjalna – po rosyjsku *spieccziast* – i siedział tam jeden pułkownik, czasami zmieniał go ktoś inny. Na wrywki brali górników, żeby dowiedzieć się, co ludzie myślą i typowali kapusiów, żeby wszędzie mieć swoich ludzi. Średnio raz na dwa miesiące każdy więzień stawiał się na rozmowę, w zasadzie wywiad, a jeszcze lepiej kontrwywiad. Pytali się i mnie, na przykład: – *Kak kuszanie?*¹⁹ Mówię: – *Kuszanie choro - szyje*²⁰. Zresztą co ja miałem gadać?

Czekiści mieli osobną kuchnię poza zoną, ale i dla nich, uprzywilejowanych, brakowało warzyw, jeżeli już były, to przeważnie suszone, chorowali więc na skorbut. Poza tym zawsze istniało niebezpieczeństwo, że przekroczą tę niewidzialną granicę i zaczną z więźniami nawiązywać różnorodne towarzyskie bądź „gospodarcze” kontakty. Wymieniano ich zatem co pięć lat, przysyłając nowe zastępy nieobrobionych przez północ robotów.

XVI. *Błatnyje i suki*

Społeczność obozowa składała się z grubsza z trzech grup: czekistów, zeków, czyli więźniów politycznych, i urków, czyli kryminalnych. Kryminalni często trafiali tam za kradzież. Złodziej to po rosyjsku *wor*. Były dwa rodzaje *worów*. Jeden ich rodzaj określany był jako *suki*. Był to taki gorszy rodzaj *wora* – jakby to najlepiej wytłumaczyć – zdradliwi oszuści. Tacy, co górnikowi ostatnią kromkę chleba ukradną lub zupe wypiją. Drugim rodzajem *worów* byli *blatnyje*, zwani inaczej *czestne worry*²¹ lub *wiesiołyje rjebiata*²². Kierowali się specyficznym kodeksem, na swój sposób byli sprawiedliwi. *Błatnyje* kradli od państw, ale od górnika nie. Między tymi dwiema grupami panowała potężna wrogość.

Urkowie byli niejako wyższą kastą w naszej łagrowej społeczności. Najwięcej było wśród nich Rosjan i Czeceńców. Moim *łagpodrozdzieleniem* rządził Sańka Emirow, pół Gruzin, pół Rosjanin. Z wyglądu typowy mieszkaniak okolic Kaukazu – czarne oczy, czarne włosy. Chodził jak król, nikogo się nie bał, nawet czekisci mu dzień dobry mówili, jego słowo było święte. Ale na niego też czyhali. Po tym jak ja się oswobodziłem, on tam został, więc jego dalsze losy nie są mi znane. Tak jak inni ludzie tego pokroju w kopalni nie pracowali. Posiadał szereg innych atrybutów swojej pozycji – spał w osobnym baraku, nie zamykali go na noc, chodził ubrany elegancko. Należał do wesołych, nie był *suką*. Jak inni *blatni* kierował się na ogół pewnym rodzajem sprawiedliwości. Zdarzało mu się zwracać uwagę na potrzeby innych. Tak jak przy rozdzielaniu chleba. Pieczywo ważyło się na wadze i przygotowywano standardowe porcje. Jeżeli waga porcji lekko nie odpowiadała normie, np. brakowało pięciu gram, to dokładano takie *prikołki*²³ i przypinano zapalczką, żeby waga się zgadzała. Zdarzało się, że urkowie wydzielający chleb oszukiwali, ową *prikołkę* zagarniając dla siebie. W takich sytuacjach wystarczyło zwrócić się do Sańki, który interweniował i kazał *prikołkę* zwracać. Poza tym był dla górników bezpośredni, jego czekisci nie ruszali, widocznie musiał... zresztą nie interesowałem się tym, bo gdybym za bardzo się interesował, toby mnie sprzątnęli. Zasada była tam tyle rozsądna, co wszechobowiązująca: *Cisze jediesz, dalsze budiesz...*

Jak już mówiłem, *suki* na kopalni nie pracowali, mieli sponsorów. Rosjanie widzieli ten proceder, ale nie mogli lub też nie chcieli nic zrobić. Mimo wszystko woleli nie brudzić rąk rozstrzeliwaniem za zoną niepoprawnych urków. Sposób znaleźli następujący:

¹⁹ Jak jedzenie?

²⁰ Jedzenie dobre.

²¹ Prawdziwi złodzieje.

²² Wesołe chłopaki.

²³ *Prikołka* to dodatkowy kawałek chleba do wagi, do wydzielonej porcji.

Dogadywali się *naczialnicy łagpodrozdzieleni* i wymieniali się informacjami: – U nas jest tyłu i tyłu, a wy ile macie? – Taką i taką liczbę. – *Charoszo*, norma odpowiada.

Powiedzmy na podrozdzieleniu jest od 20 do 50 suk. Pewnego dnia przychodzi nowy etap. Szereg mężczyzn. Słysząc: – *Smatrī drug, blatnyje idut*²⁴. Rosjanie wpuszczają ich do środka – tych *blatnych* do tych *suk*. Około półtora do dwóch dni rozmawiają jedni z drugimi, taki „wywiad” robią. Zapoznają się, sprawdzą dokładnie czy to ten, czy nie ten. A potem ni stąd, ni zowąd wybija godzina taka, następuje wybuch, walka toczy się od razu na noże. Rozgrywały się one w strefie obozowej. Kiedy urkowie zaczynali się między sobą rżnąć, wtedy i strażnicy nie musieli strzelać. Rozumiecie teraz? To był system taki! Raz jedni byli górą, raz drudzy. Zależy ilu było po obu stronach i jak silnych. Czekał się rozeznanie, to nie w ciemno było robione, o nie! Górnicy wtedy oczywiście uciekali jak najdalej, bo czasami i niewinni mogą zginąć. Polityczni nawet się temu nie przyglądali, oni wiedzieli o co chodzi. Jak już urkowie się między sobą wycięli, wywozili ich za strefę. Tam ich ciała roznosiły gawrony. Po dość szybkim czasie znikają jak kamień w wodę. I ręce mieli czekać umyte.

Parę słów wyjaśnienia, skąd te narzędzia walki. Na każdej kopalni są zakłady mechaniczne. Naprawiali tam maszyny i wszelaki sprzęt przemysłowy. Były też kuźnie. Otóż te kuźnie pełniły rolę podziemnych zbrojowni dla tej walki ciemnych sił. Z gorącego żelaza można cuda zrobić. W tych właśnie miejscach ze stali kuto piki. Niektóre okręcano taśmą jak miecz, żeby po ciosie ręka nie przeszła dalej. Otóż praktycznie wszyscy urkowie mieli tego typu broń, trzymali je w butach z wysokimi cholewami. Oczywiście strażnicy wiedzieli o tym procederze, ale nie rewidowali urków zbyt starannie.

W tym świecie zła swój ze swoim zawsze potrafili znaleźć płaszczyznę porozumienia. I nie było różnicy, czy chodziło o zło państwowe, czy kryminalne. Ale jak to zawsze ze złem bywa, prowadzi ono do zatracenia. Urkowie mimo swojej lepszej pozycji w stosunku do więźniów politycznych byli praktycznie do końca życia skazani na łagier. Oni byli na stracenie, ich nie wypuszczano. Żyli jak królowie, ale pieskie było to ich życie.

XVII. Pamiętam ich po imieniu...

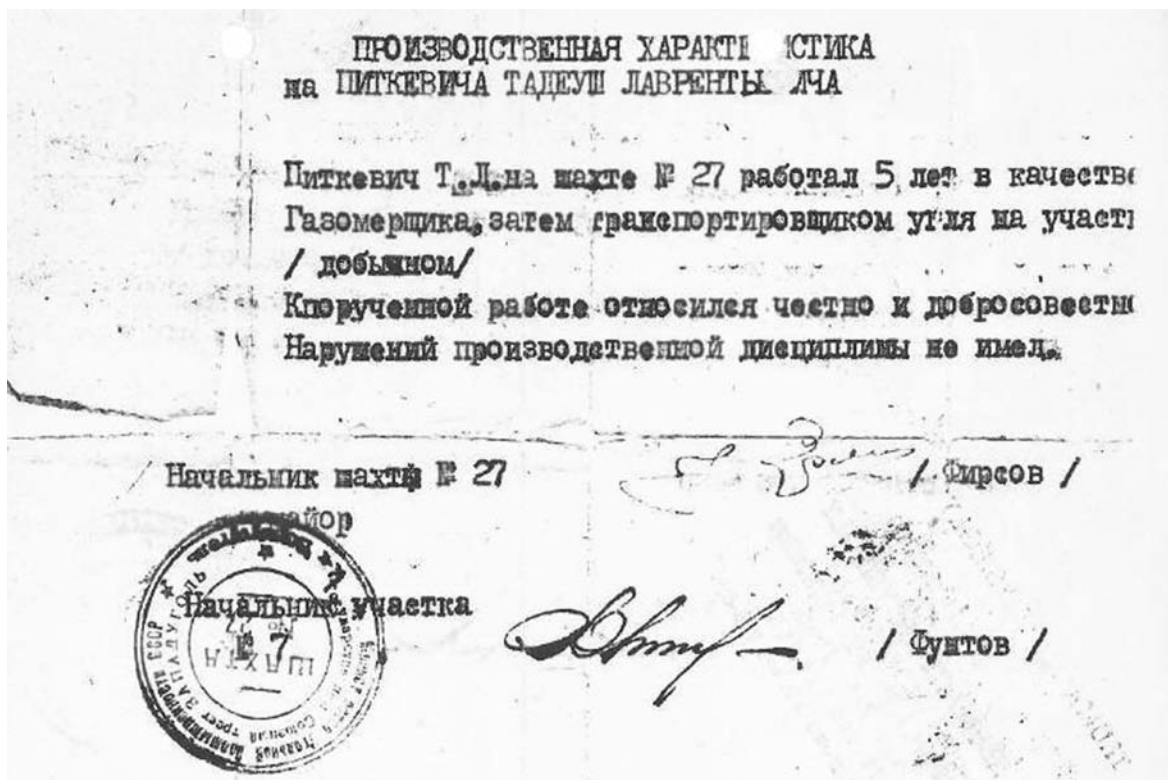
a) Ryszkin z Dniepropietrowska

Ryszkin był to bystry chłopak z rodziny inteligenckiej, przystojny, o ładnych, czarnych włosach. Jego ojciec był stomatologiem i wstawiał zęby Niemcom. Pracowaliśmy razem w składzie drzewnym i spaliśmy w jednym baraku. On również wstawiał zęby – złote, srebrne, robił koronki ze stali łożyskowej, świecą je podgrzewał i polerował.

Tamtego dnia mieliśmy przewieźć drewno do kopalni – 10 wagonów jeden za drugim. Wagony przywiązane były do *lebiodka* – silnego, elektrycznego walca, na który nakręcała się gruba stalowa lina. Maszyna została wprowadzona w ruch, stal naprężyła się, zadźwięczała, szarpnęła, wagoniki lekko drgnęły... tym razem lina nie wytrzymała.

Błyskawicznie, ostra jak brzytwa odskoczyła, ucinając Ryszkinowi obie nogi poniżej kolan. Rany dłuższy czas ropiały, więzienny konował lekarstw nie zapisywał, dawał tylko jodynę, bandaż i kawał szmaty. Kiedy nogi się szczęśliwie zagoiły przydzielili go do LFT. Jeździł potem na wózku, który specjalnie dla niego zrobiono, pracował w archiwum, gdzie wstawiono dla niego łóżko. Świetnie kaligrafował. Dzięki niemu uzyskałem zaświadczenie o dobrym sprawowaniu, podpisane przez komendantów wojskowych Susłowa i Funtowa – ważny jak na tamte czasy dokument. Kopalnie tamtejsze należały bowiem do NKWD. Major Funtow bardzo Rysz-

²⁴ Popatrz przyjacielu, idą *blatni*.



Opinia napisana przez Ryszkina

kina chwalił – *Zamiecziatelnyj parien*²⁵, powtarzał. Chłopak to wykorzystał – napisał na maszynie odpowiedni tekst i poszedł do majora, a on podpisał i postawił oryginalną pieczęć.

b) Paweł Prudnikow

Pochodził z Homla – za Niemców był tam w *Schutzpolizei*²⁶. Pewnej nocy do jego domu wpadli partyzanci sowieccy. Wytlukli mu całą rodzinę i spalili dom. On na swoje szczęście czy nieszczęście przeżył. Po wkroczeniu Sowietów dostał wyrok – Workuta 12 lat. Był dobrym kolegą, razem pracowaliśmy na *ucziastku*.

Pewnego dnia do naszego obozu przyszedł etap. Wśród nowo przybyłych Paweł zobaczył jednego z partyzantów – oprawców swojej rodziny. Nerwowo nie wytrzymał, a że i tak było mu wszystko jedno zaszlachtował partyzanta, zadając mu 5 ciosów nożem. Działo się to wszystko na moich oczach. Wtedy było to dla mnie normalne zjawisko, krwi nie boję się do dzisiaj. Prudnikow w pokazowym procesie dostał pięć dodatkowych lat. Na pewno nie wyszedł, już wtedy był wykończony.

c) Zachar Sawielewicz Klewcow

W kopalni [nr] 27 na naszym *ucziastku* brygadzystą był starszy gość (około 60) Zachar Sawielewicz Klewcow. Pochodził z Donbasu, też jak Ryszkin z Dniepropietrowska, niezwykle inteligentny człowiek. Całe życie przepracował jako inżynier górnictwa, umysłowo, pracowa-
łem w jego brygadzie. Też miał za coś wyrok. Był to wymagający szef, ale ludzki. Krzywdy nigdy nikomu nie zrobił. Miał takie powiedzenie: „Złemu tancerzowi i jajka przeszkadzają”.

²⁵ Wspaniały chłopak.

²⁶ Kolaborujące z Niemcami formacje policyjne.

d) żołnierz z Nowej Ziemi

W tamtych latach Amerykanie zrzucili bomby na Hiroszimę i Nagasaki. Rosjanie wtedy takiej broni jeszcze nie mieli. Pospieszenie na Nowej Ziemi zaczęli budowę urządzeń służących do jej produkcji. Ta polarna wyspa to ogromny obszar. Teren ten najlepiej odpowiadał założeniom tajnego projektu. Obszar położony jest daleko od Norwegii i Szwecji, i od wielkich miast rosyjskiej północy – od Murmańska i Archangielska. A od Workuty... to im nie zależało.

Jak się spojrzy na mapę, od strony Morza Barentsa jest tam Zatoka Niedźwiedzia. Utworzyli na niej prowizoryczny port. Używali też przerobionych Douglasów, zamiast kół mających płozy, które nie potrzebowały specjalnego lotniska. Pobudowali tam ogromne instalacje i rozszczepiali atom oraz prowadzili próbne wybuchy. Jak już udoskonalili tę straszną broń, to część ludzi tam pracujących zlikwidowali, a część wywieźli. Wszystko to było oczywiście pod nadzorem NKWD. Na tym doświadczalnym poligonie było również sporo regularnego wojska do obsługi zainstalowanych tam wyrzutni i innych wojskowych urządzeń. Siedział ze mną jeden taki facet, Rusek, który pracował tam w czynnej służbie.

Pochodził z Leningradu, tam początkowo służył w wojsku. W końcu przerzucili go na Nową Ziemię. Po zwolnieniu do cywila zamieszkał w rodzinnym mieście. Pracy w Leningradzie nie było, po jakimś czasie zabrakło mu środków do życia. Poszedł więc do *wojenkamatu*, czyli biura wojskowego, żeby mu dali emeryturę, bo był na Nowej Ziemi, w wojsku, w czynnej służbie, w takim to a takim roku. Pokazał książeczkę wojskową, gdzie było napisane wyraźnie – *Nowaja Ziemlja* i jej kod pocztowy. Emerytury nie dostał, zajęli się nim za to czekał. Wzięli go i posadzili za to, że zdradził tajemnicę. Wrócił zatem na daleką północ, tyle, że tym razem do węgla. Już w obozie opowiadał: „Faktycznie podpisałem, że miejsce mojej służby to tajemnica i nie można nikomu o tym mówić”. Pamiętam go dobrze...

XVIII. Przemoc w łagrze

Enkawudziści w zasadzie nie bili – bali się bić więźniów. Jak ktoś się im sprzeciwiał, to wykańczali go „dyplomatycznie”. Tych „dyplomatycznych” metod był cały wachlarz – a to jedzenia [nie] dali, w zimnej celi karceru zostawili, wody nie pozwolili się napić i... stopniowo człowiek jak śnieg w czerwcu tajał.

Najgorszy był karcer – prosty budynek z metalowymi drzwiami, za nimi cela bez łóżka, zresztą bez niczego innego. Gołe ściany, nieogrzewane, a na zewnątrz mróz do minus 50!!! Jak było się tam samemu i nie miał kto grzać, noc oznaczała pewną śmierć. I szybki pogrzeb. Jak kogoś tam szlag trafił, był rano zabierany, wrzucany na taczkę lub sanie i wieziony nią ku wolności wiecznej za zonę. Ziemia była przez większą część roku zupełnie zmrożona, ludzi nikt w niej nie chował. Ci z LFT konwojowani przez NKWD wozili trupy na odległość 100–150 metrów od zony i tam je zostawiali. Te leżące i zmarznięte zwłoki widać było doskonale z obozu. Wkrótce zlatywały się od strony morza ogromne, czarne ptaszyska – pięć do dziesięciu wystarczyło, by w ciągu dwóch godzin z człowieka nic nie zostało. Jedynie czasami ludzi zakopywało się w tundrze i stawiało się tabliczkę z numerem.

Przemoc nie była ślepa i nie była spontaniczna, nawet w Rosji. Wszystkie represje odbywały się w *łagpodrozdzieleniu*. Również karcery znajdowały się właśnie tam – w naszym mieszkaniu – w obozie. Na szachcie ich oczywiście nie było, kopalnia jest bowiem *pro-izwodstwem* – fabryką, gdzie nie wolno robić wszystkich tych rzeczy, jakie robi się z więźniami, gdy są u siebie.

Tam w kopalni inni, wolni ludzie nie mieli prawa wiedzieć wszystkiego. Szachta to jest naprawdę duży kombinat i musi być profesjonalnie zarządzana. Ciężki przemysł rządzi się

swoimi twardymi prawami – trzeba obliczyć wydajność, z jaką są w stanie pracować robotnicy, trzeba wiedzieć, dlaczego jedni pracują lepiej, a inni gorzej, co i kiedy się zepsuje i dlaczego. Dobre kadry zarządcze wysoko wykwalifikowanych *wolnonajomnych*, do roboty biurowej i techników – *rapalszcików*, zajmujących się wysadzaniem skał amonitem, trzeba było rekrutować wśród pracowników na wolności.

XIX. Workucińskie polowanie

Dużo chłopaków w zonie chorowało na *tubierkulioz* – gruźlicę, a jak wiadomo, dobrym lekarstwem na to jest tłuszcz. Ale skąd wziąć w łagrze tłuszcz? Były tam takie chłopaki – cwaniaki, którzy i na to znaleźli sposób. Jak już mówiłem, między jedną zoną a drugą, znajdował się pusty obszar, a po nim biegały psy-strażnicy, bardziej podobne do wilków. Psy były wypasione i tłuste. Przywozili je z jakiejś hodowli aerosaniami. Miały osobny barak poza zoną, na pewno ogrzewany.

Jak zaczyna się purga, to widoczność spada na maksymalnie metr. Wtedy niektórzy chłopaki, przeważnie ruskie, przecinali druty i wylazili za naszą zoną na ten obszar pomiędzy ogrodzeniami, by łapać te psy. Odbywało się to w następujący sposób – taki wilk podchodzi i atakuje, skacząc oraz rozdziawiając paszczę. I wtedy wsadza mu się rękę w pysk, chwyta za język i wrywa się go mocnym, szybkim szarpnięciem. Razem z językiem wrywa się takiemu psu i więcej. Wtedy bestia pada z głośnym wyciem i już w zasadzie nie jest w stanie nic zrobić. Potem z tych psów wytapiali tłuszcz i pili łyżeczkami tak jak tran. Lekarstwo to było najlepsze i niezastąpione. Mięso też gotowało się i jadło. Czekiści starali się znajdować sprawców, ale niewiele mogli. Więźniowie polowali w purgę, która zaciera wszystkie ślady. Czekiści robili alarm, wszystkie reflektory się paliły, ale znajdowali skórę i trochę mięsa, ale nie sprawców. Szukali, badali, robili śledztwo, nikt się nie przyznawał. Łagiernicy, gdy się o kimś dowiedzieli, że kapuje, obcinali brzytwą język, szybko i na żywca. Parę osób, które w ten sposób utraciły mowę, widziałem. Taki kryminalista, który to zrobił, na pewno nic nie powie, a sama ofiara nie była potem w stanie sprawców rozpoznać.

XX. Ucieczki

Wydobyty węgiel gromadziło się w ogromnych metalowych bunkrach. Później w celu transportu przesypywano go do specjalnych skrzynek. W nich pod węglem próbowali się czasami chować skazani, by w ten sposób wydostać się poza miasto. Ale enkawudziści wynaleźli na to sposób. Mieli gładkie, stalowe pręty, które co pół metra wbijali w węgiel. Znalezionej zbiegów zabijano i wystawiano na widok publiczny ku przestrodze. Na dechach przed portiernią leżało powiedzmy dziesięć trupów.

– *Kto budie udirat, tak eto s niom budziet.*

Zwłoki leżały w mrozie jak zabalsamowane i dobrze pełniły swoją funkcję. W kiciu człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja.

Na tych, co próbowali ucieczki w sposób bardziej „tradycyjny”, enkawudziści mieli inny wynalazek – aerosanie. Pojazd ten miał zabudowaną kabinę z desek jak ruskie zisy, a z tyłu silnik M-20 (taki jaki znajdował się w samochodach typu Pobjeda oraz polskich Warszawach) oraz śmigło – też lekko zabudowane. Jak śnieg leżał równo, zmrożony i bez zasp, to sanie szły jak błyskawica, potrafiły osiągnąć nawet do 100 kilometrów na godzinę. W skład załogi takie - go pojazdu wchodziło dwóch snajperów siedzących po bokach, wyposażonych w długie kbk. Mieli też lornetki. Na takiej białej płaskiej przestrzeni widać było wszystko po horyzont, każdy najmniejszy czarny punkcik w oddali był dla nich łatwym celem. Do niewoli nie brali. Pojazd stał niedaleko zony. Wyjeżdżał dosyć często, oznajmiając to głośnym hałasem.

XXI. Bunt więźniów

Starczyło siły na bunt. Oddzieleni od „gdzie indziej” murem bezbrzeżnej przestrzeni mieliśmy za swoje oczy i uszy, a także za naszych rzeczników wobec świata, jedynie NKWD. A oni już doskonale wiedzieli, co mówić. Ale tutaj, wewnątrz naszej szklanej kuli, możliwości porozumiewania się więźniów z różnych obozów i kopalń jak najbardziej istniały. Więźniowie przemieszczali się stosunkowo często między wysepkami naszego archipelagu, stale przychodziły też uzupełnienia. Toteż informowali się wszyscy, że tego i tego dnia będzie strajk. W pewnym momencie wiadomość ta zaczęła się rozprzestrzeniać na podobieństwo pożaru. Kto wie, czy nie pomagali w tym nawet ludzie ze służby więziennej, może nawet któryś czekista? To też różni ludzie byli...

Postulaty streszczały cały nasz stan świadomości:

- Ulepszyć jedzenie.
- Zezwolić na listy i na paczki z domu.
- Odemknąć baraki.

Bunt i jego stłumienie wyglądały wręcz modelowo: ludzie odmawiali pracy, zaczęli się gromadzić na wolnych przestrzeniach, a część podjęła strajk okupacyjny w kopalniach. Przyjechał „negocjator” – generał wojsk MWD – spojrzał na kołyszące się ludzkie błoto, na tyśiące numerów, na wiarę nieprzebraną zebraną na tak zwanym *plodźbiszczu* – *rozwodjaszczim placu*. Uprzejmie się zapytał: – *W cziom dzieło? Cziewo chatitie?*²⁷, a numery w gwizd.

Jest mówca, są ambony. Lecz o ile łagier różnił się od kościoła, o tyle tamtejsze ambony różniły się od ambon kościelnych. Zamiast słów o miłości i przebaczeniu, łagrowe ambony uzbrojone w karabiny maszynowe mogły siać tylko zło. A między ambonami ludzkie błoto.

Na ambonach karabiny maszynowe stały... „Generał-negocjator” widzi, że nie ma z kim rozmawiać, podszedł zatem do dowódcy i powiedział: – *Odkryć agoń po izmiennikach rodiny!*²⁸ Stalinowskie ambony spełniły swoje zadanie. Krzyżowym ogniem wzięli i wytłukli. A ta reszta, co strajkowała w kopalniach na dole, na dole też została. Kopalnie zatopili, zasypali... koniec.

„I była zgroza nagłych cisz. I była próżnia w całym niebie!”, i nikt nie wiedział, i nikt nic nie wie. Przeszło, przeminęło. Były to kopalnie – jak mi się zdaje – 6, 19 i 26. Ale do kładnie numeracji teraz już nie pamiętam, bo wiadomo – człowiek zamknięty w *chudołku* może i czasami bzdury jakieś opowiadać. A ja nie chcę wam bzdur opowiadać – mówię to, czego byłem naocznym świadkiem. Sam pracowałem na kopalni [nr] 27, przemianowanej lata później na „Zapolaraną” i w końcu „Sierwerną”. Obecnie 27. nie ma oczywiście w spisie – określało się ją jako *bywszaja 27, a szcias siewiernaja*. Zmiany nazw nie były przypadkowe – w logice systemu leżała częsta zmiana dekoracji. Tak jak sam kat też często zmieniał skórę – CzeKa, OGPU, GPU, NKWD, KGB...

Tymczasem zeki szumieli trochę, ale do pracy chodzili. A po tych strajkach niektóre sprawy częściowo załatwili – większość dopiero jak zmarł Stalin.

XXII. Szczury

Co się wtedy wydarzyło, trudno powiedzieć. Był dzień jak inne, z palącym mrozem i korytarzami w śniegu. A jednak pociągi, które wtedy wyjechały ze skamieniałym ciepłem na ciepłe południe, stawały stopniowo w środku tundry. Ich koła ślizgały się na miazdżonym mięsie. Szczurzym mięsie. Dlaczego jednego dnia wszystkie workucińskie szczury posta-

²⁷ O co chodzi? Czego chcecie?

²⁸ Otworzyć ogień do zdrajców ojczyzny!

nowiły stąd wywędrować? Czy dlatego, bo są tak podobne do nas, że testuje się na nich nowe ludzkie lekarstwa i prowadzi eksperymenty mające odwzorowywać socjologiczne zachowania ludzi? Może dlatego udzieliła im się nasza szarpiąca ludzka tęsknota za wolnością, ciepłem, zielenią, słońcem? Może dlatego. A może goniła ich jakaś inna szczurza tęsknota, a może tak jak nas w Workucie podstawowe zwierzęce instynkty? I jak my, tak i one miały jedną drogę, by to marzenie zrealizować – drogę żelazną. Zbudowaną w latach trzydziestych na zasadzie „jeden podkład – jeden zmarły z zimna i przepracowania człowiek”. Wszystko inne pokrywał kilkumetrowy śnieg, tylko wryty w białej śmierci korytarz prowadził do innego, piękniejszego świata. I ten korytarz wybrały szczury. Całymi tysiącami uciekały nim z mokrych kopalni i gnijących baraków. Byle dalej od tego straszego miejsca. Pod obracające się w jałowym wysiłku koła opasłych olbrzymów z czerwonymi gwiazdami sypało się piasek i tak krok po kroku, miażdżąc kolejne szczurze marzenia, węgiel posuwał się do przodu. Ile dni to trwało, nie wiem. Pamiętam tylko, że później do końca mojego pobytu za kołem polarnym nie widziałem w kopalni ani jednego szczura.

XXIII. Oswobodzenie

Po śmierci Stalina strażnicy zrobili się jacyś inni, przestali nas tak ścigać, wytworzyła się nieco inna atmosfera. Nie od razu i stopniowo – Stalin zmarł bodaj w marcu, a większy luz w łagrze powstał dopiero pod koniec 1953 r. W rok po śmierci Stalina zezwolili raz na rok napisać list do domu, jeśli ktoś miał rodzinę. Poza tym zaczęła przychodzić korespondencja – po 9 latach dostałem pierwszą pocztę od bliskich!!! Pocztylion z torbą (też jakiś więzień) wszedł na duży plac przy kopalni i krzyknął: – *Wnimanie! Ot raditiljej pieriedaczu imiej-tie!*²⁹. Po czym zaczął wyczytywać nazwiska. A potem to już regularnie dostawali listy Ci, których rodziny się dowiedziały, że poczta do łagrów dochodzi. Jak oglądałem moje listy, to każdy był otwarty i przeczytany przez cenzurę. Mniej więcej w tym czasie zdjęli nam również numery i zniknęły puszki z farbą. Była to naprawdę duża ulga, bo nie trzeba było ich stale poprawiać i malować. Kolejną zmianą na lepsze było to, że przestali zamykać baraki po naszym przyjściu z pracy. Nabierało to szczególnego znaczenia, kiedy robiło się ciepło. Lato trwało tam jakiś miesiąc, może półtora. Trawa pokazywała się na trochę i mogliśmy wtedy spacerować od baraku do baraku. W roku 1954 niektórzy więźniowie zrobili boisko. Był to po prostu uporządkowany teren, gdzie kopano piłkę, żeby znowu trochę się uczłowieczyć.

W lipcu 1954 r. wyszło zarządzenie z Kremla, które w konsekwencji dało mi wolność. Od wydania tego zarządzenia minął jeszcze lipiec, sierpień, wrzesień, październik, a w listopadzie wyszedłem z łagru.

Wyzwolenie było niespodziewane. W zasadzie jak przejście do innego, chyba trochę obcego świata. Ja już byłem stamtąd, z Workuty, z łagrów, z zamarzniętego smrodu. Tak jak podczas przesłuchania ledwo mówiłem po rosyjsku, tak 10 lat po nim prawie w ogóle nie mówiłem po polsku. W chwili gdy mnie zaaresztowali po rosyjsku nie potrafiłem powiedzieć ani słowa. Po dwóch miesiącach jazdy do łagru już trochę po rosyjsku mówiłem, a po roku lub po półtora to już dosłownie śpiewałem w tym języku. I *udarzenije*, czyli akcent był nienaganny i wymowa, a te wszystkie miękkie i twarde głoski umiałem wymawiać jak rdzenny Rosjanin. Byłem wtedy przecież młodym chłopakiem i tak szybko ten język opanowałem, że aż sam się dziwiłem. W obozie bardzo szybko przeszedłem z polskiego na rosyjski. Początkowo jak szedłem spać, to jeszcze się modliłem, potem już tylko przed snem się przeżegnałem, a z czasem człowiek jakoś odzwyczaił się i od tego, bo czas jednak robi

²⁹ Uwaga! Bierście przesyłki od rodziców!

Трудовая книжка

Фамилия Питкевич
 Имя Тадэуш
 Отчество Лаврентьевич
 Год рождения 1928
 Образование: начальное, среднее, высшее
 (подчеркнуть)
 Профессия рабочий
 Подпись владельца Трудовой книжки
 Дата заполнения Трудовой книжки
27 декабря 1954 г.

TEUMACZ PRZYSIEGLY
 języków
 rosyjskiego, białoruskiego i ukraińskiego
 mgr Zofia Dratwa
 78-200 SŁUPSK
 ul. Traugutta 3/2, tel. 246-62

СВЕДЕНИЯ

№	Дата			Сведения о приеме на работу и увольнении
	Год	Месяц	Число	
1	1954	XII	2	Колымский Принят в кадр Лесотролхоз
2	1955	XI	14	из лесотролхоза КЗОТ и. "А" в в Тольскую Народную Республику зам. директора

О РАБОТЕ

работу, перемещениях по (с указанием причин)	На основании чего внесена запись (документ, его дата и номер)
лесотролхоз рабочий № 137	приказ № 382 от 2/XII-54
уволен по ст. 44 связи с выездом	Приказ № 229 от 14/XI-55

swoje. Gdybym upierał się przy języku polskim, toby mnie zatłukli. Mówili: „Polak to taka *jewrjejska*³⁰ morda”. Nawet nie wiem, czy wśród więźniów był jakiś Polak, może i tak, ale jeżeli był, to się nie przyznawał – i jak z rana wstaniesz, to wciąż tylko ruski, ruski i ruski.

W dekrete Malenkowa z 1954 r. chodziło mniej więcej o to, że jeżeli ktoś popełnił przestępstwo polityczne, będąc nieletnim, ma zostać „pomiłowany”. Przychodzi zatem *Nariad - czik* i mówi: – Dzisiaj do pracy nie idziecie. Potem zabiera mnie konwój, wyprowadza za zonę, gdzie otrzymuję krótkie instrukcje. – *Wnimanie, za szag w prawo lub szag w lewo bu - diem strielat*³¹. Potem marsz, 15 kilometrów tundrą w śniegu, w konwoju do sądu. Wyglądam nieco jak błazen w mojej fufajce i w spodniach watowych. Chudy strasznie.

АРХИВНАЯ СПРАВКА

В документах Центрального государственного архива Коми ССР имеются сведения, что ПЕТКЕВИЧ Тадеуш Лаврентьевич, 1928 года рождения, находился на территории СССР с 1 ноября 1945 года по 6 сентября 1954 года; с 31 августа 1949 года по 2 сентября 1954 года работал газомерщиком и уборщиком на шахте № 27 комбината "Воркутауголь".

Директор Центрального государственного архива Коми ССР



Т.И.Лахтинова

№ 18

19 февраля 1992 года.

Zaświadczenie z archiwum Republiki Komi o pracy w Workucie

Razem ze mną przybyło tam 12 osób. Strażnik trzymał nas w pogotowiu i wywoływał kolejno po literze. Wprowadzono mnie do pokoju, siedziało tam 10 osób – ruskie baby, pełniące funkcję *zasiedatieli*³², grube kaczki, żony oficerów NKWD i jeden sędzia, oczywiście czekista, ale w sądzie był po cywilnemu. Poprosił o dokumenty. Przynieśli niedużą teczkę – *licznyje diela*³³, z wyciśniętym herbem na czerwonym laku.

– Uwaga towarzysze! Będę rozpatrywać *dielo*³⁴ Pietkiewicza Tadeusza Ławrientiewicza.

Otwiera teczkę. Na samej górze w dokumentach były zdjęcia. 15 zdjęć kryminalnych, na których jestem rozebrany do naga i stoję w rozmaitych pozach, tyłem, przodem, z profilu. Wszystko pokazane dosłownie, słowo upokorzenie miało tutaj tyle różnych znaczeń... Nie jak u Amerykanów zbierających odciski palców. Pokazuje moje nagie akty wszystkim tym kaczkom i pyta się ich:

– *Prawierajtie, tot ili nie tot. Smatritie toczno!*³⁵ Baby gapią się na nie i gapią, po czym odpowiadają chórem:

³⁰ Żydowska.

³¹ Uwaga, krok w prawo, krok w lewo, a będziemy strzelać.

³² Ławników.

³³ Sprawy osobowe.

³⁴ Sprawę.

³⁵ Sprawdzajcie, ten czy nie ten. Patrzcie dokładnie.

– *Każetsa tot*³⁶. Powtarza: – *Tot ili niet?* One krótko: – *Tot*. Odkłada zdjęcia i pyta: – Za co karany? Odpowiada sobie: – *Za izmienie rodziny!*³⁷.

– Jakiej ojczyzny?! – odpowiadam. Sędzia na to: – Ja się nie zgadzam z tym, że wy jesteście Polakiem, wy lepiej rozmawiacie po rusku niż ja, *udalenie*³⁸ jak u ruskiego. Co zrobiłeś podczas wojny?

Ja mówię: – Nic, co ja mogłem robić? To sprawa przeszła.

– Wyszło zarządzenie od Rady Ministrów, że będziesz oswobodzony.

Zwrócił się do kaczek-ławników: – *Kak wy towariszczy – protiv ili niet?*

One chórem: – *U nas protiv nicziewo nietu.*

– *Nu choroszo, tak was oswobadim. Starszina, bieri jewo!*³⁹

Krótki temat, sprawa właściwie dla formalności, dokumenty zostały widocznie przesłane z Moskwy bądź z MWD. Zarządzenia, które mnie stamtąd wybawiło, nie widziałem, dopiero później dowiedziałem się o nim szczegółowo.

Co ciekawe – w tym momencie, kiedy powiedziano mi, że będę żył, że będę wolny, że to wszystko kiedyś się skończy, nie zrobiło mi się ani zimno, ani gorąco. Jak już mówiłem, wrosłem w to wszystko, do wszystkiego się przyzwyczaiłem, bo i do wszystkiego można się przyzwyczaić. Byłem górnikiem-łagiernikiem, przeszłość była zupełnie inna, dawna i niepewna. Przyszłości po prostu nie było. Albo inaczej, przyszłość była jedynie najbliższa – był nią konwój, czyli trzech żołnierzy, dwóch z karabinami, jeden z krótką bronią. Polecenie sędziego-czekisty: – *Starszina, bieri jewo*. Więc mnie wzięli, kolejne 15 kilometrów w drugą stronę. Jeszcze trzy miesiące pracowałem na kopalni. Po tym czasie tak naprawdę zapomniałem o całej tej sytuacji w sądzie. Ja im po prostu nie wierzyłem i do dzisiaj nie wierzę. I nie byłem w tym odosobniony – jak wychodziłem z kicia, chłopaki mówili: „Jak naprawdę będziesz na swobodzie, to uwierzemy”. Naprawdę nikt, ale to nikt nie dawał wiary, że ja wychodzę.

Po tych trzech miesiącach przyszło widocznie potwierdzenie wyroku mojego oswobodzenia. I wypuścili mnie. No, tak po prawdzie to nie do końca wypuścili. Wyprowadzili za obóz, wzięli pod konwój i poprowadzili na *pieriesilnyj punkt*. To też był łagier, tylko przejściowy, taka *sortirowka*, czyściec, gdzie trafiają ludzie, którzy przychodzą lub wychodzą. Spędziłem tam jeszcze 5 dni.

W zasadzie z nikim się specjalnie nie żegnałem. Miałem tam jednego kolegę, to mu rękę podałem. Powiedziałem: – *Ujeżdżaj sam, nie znaju kuda*⁴⁰. Nikt mi wtedy jeszcze nic nie powiedział, gdzie mam jechać.

Był rok 1954. Czas oswobodzenia przyszedł za generała Malenkowa, mniej więcej wtedy, kiedy postrzelali się te drakony na Kremlu. Siedziałem w Workucie na *pieriesylnom*. W końcu mówi do mnie naczelnik: – Ty od dzisiaj będziesz wolny, dawaj ze mną.

– *Kuda budu jechat' grażdanan naczialnik? W Polszu?*⁴¹

– *Ty durak!*⁴², tam, gdzie wam każemy. Tutaj masz swój adres.

Nie wiedziałem, że mama była wywieziona na Syberię. Wydali taki mały świstek, druk dający mi prawo do bezpłatnego przejazdu z Komi do Krasnojarskiego Kraju. Tak więc wy-

³⁶ Wydaje się, że ten.

³⁷ Za zdradę ojczyzny!

³⁸ Akcent.

³⁹ Jak wasze zdanie towarzysze – przeciwko czy nie? My przeciwko niczego nie mamy. No dobrze, zatem was oswobodzimy. Straż, zabrać go!

⁴⁰ Wyjeżdżam, nie wiem gdzie.

⁴¹ Dokąd będę jechać obywatelu naczelniku? Do Polski?

⁴² Ty głupku!

zwolenie oznaczało Syberię. Workuta była po prostu głębszym kręgiem piekieł, była czymś jeszcze straszniejszym od tego, co tworzyło carskie samodzierżawie. Była dalej na północ, bardziej śmiertelna, bardziej niehumanitarna niż ktokolwiek w XIX w. odważył się myśleć. Nawet już teraz nie wiem, czy im rzeczywiście chodziło o ten węgiel. Czy siły stojące za powstaniem Workuty nie były znacznie od niego ciemniejsze...

Z chwilą mojego oswobodzenia najbardziej właśnie zapamiętałem ten wzrok czekistów, kiedy wydawali mi zezwolenie na przejazd. Patrzyli się na mnie i patrzyli, ale nic nie mówili.

Na wyjazd dali mi z 5 kg sucharów, kilogram słoniny *jelkiej*, żółtej i pół głowy cukru, trzy gazety oraz 10 paczek tytoniu – łączył ciętych na drobno. Dostałem też worek brezentowy, taki jak noszą marynarze, i do niego wszystko poskładali.

Przyprowadzili mnie na wartownię – tzw. *prochadanaja* i zaczęli mnie tam sprawdzać. Zrobili mi zdjęcie, ważyłem na nim pewnie ze 40 kg, nie więcej. Wyglądałem jak Judasz, skóra i kości, w fufajce, watowych spodniach i kierzowych butach. Miałem 25 lat, ale byłem bystry, konkretny i doświadczony oraz umysłowo sprawny, jakbym miał lat 50. Jednym słowem byłem wtedy aż taki, że pieczęć nie było gdzie na mnie postawić.

Strażnik mówi za mną: – Idź prosto na dworzec. Patrzę dookoła, nikogo nie ma. – Znajdę, powiedziałem. Rozejrzałem się jeszcze raz i zaraz udałem się w stronę dworca. Szedłem kawał czasu, oglądając się co chwila za siebie. Wiedziałem, że jestem wolny, ale sam sobie nie wierzyłem. W istocie nadal nie zdawałem sobie z tego sprawy. Doszło to do mnie dopiero jak z Moskwy jechałem na Władywostok i wtedy stanęły przede mną wszystkie związane z tym problemy. Na każdym kroku niebezpieczeństwo, wszędzie wrogowie. Uratowała mnie ta wola życia, dużo też zależy od silnego charakteru. Dlatego ja i dzisiaj taki jestem.

Na stacji pytam się *żeleznodorożnika*, kiedy będzie pociąg do Jarosławia. Dowiedziałem się, że raz na dobę. Było na stacji też dwóch młodych chłopaków, z tej samej amnestii i razem pojechaliśmy do Jarosławia. Jarosław to centralny węzeł kolejowy, znajduje się tam dużo torów biegnących w różne strony świata, węgiel idzie dzień i noc. Jedna z tych dróg prowadzi do Braniewa, do którego też docierał węgiel z Workuty.

Wtedy przy każdym pociągu osobowym dopięty był więzienny wagon, którego nazywano „Stołypin”. W wagonie tym wydzielono cele i toczyło się normalne życie więzienne. Zapakowali nas do tego wagonu i pojechaliśmy przez Intę, Uchtę, Peczorę, Kotłas i duży węzeł kolejowy Jarosław – do Moskwy.

XXIV. Syberia

W stolicy imperium wysiadłem na *Białoruskim Wakzale*. Powiedziałem tam, że potrzebuję na Władywostok i spytałem, gdzie mam się zgłosić. – Idź do metra i metrem dojedziesz do *Pawieleckoj* i tam pójdziesz na *Centralnyj-Wostocznyj*, stamtąd pojedziesz na Władywostok. Dotarłem w końcu na *Centralnyj-Wostocznyj*. Czekam 4 doby. W końcu słyszę od milicjanta:

- *Szto ty dielajesz?* Pokazuję mu kartkę.
- Aaa, z obozu.
- Jadę do rodziny, do stacji Kamarcziaga, ponad 4000 kilometrów od Moskwy. Czekam już 4 doby.
- A dlaczego wcześniej się nie zgłosiłeś? Macie przecież pierwszeństwo odjazdu, żebyście nie rozrabiali.

Ja nie byłem łobuzem i do dzisiaj nim nie jestem, żeby rozrabiać, ale faktycznie załatwili mi pociąg. Dali numer wagonu i przedział. Cały czas podróżowałem w jednym wagonie – *dalnoświedowani*. Odczepiali go i podłączali – ja jechałem. Tam w każdym wagonie jest

prawadnik bądź *prawadnica*⁴³, który ma własny przedział z samowarami. Stacje były co 100–200 kilometrów. Po dwóch tygodniach dojechaliśmy do mojej. *Prawadnica* poinformowała mnie, że akurat na niej pociąg się nie zatrzymuje, ale zadzwoniła do maszynisty, po czym po jakimś czasie przyszła i mówi: – Wstawaj, to już stacja. Z Workuty do Kamarcziagi, mojego celu podróży, jechałem trzy tygodnie.

Pociąg zatrąbił, stanął. – Wyskakuj bystro. Dali mi jeszcze zaświadczenie z informacją, do jakiej miejscowości mam się zgłosić. Pociąg pojechał, ja zostałem. Rozglądam się – dookoła żadnego dworca, tylko odkryta przestrzeń. Nie ma żywego ducha. W polu widzenia jedynie wagon bez kół i mnóstwo węgla dla pociągów. Obszedłem dookoła ten wagon i znalazłem na nim napis *Wakzał*⁴⁴. Czyli jestem w Kamarcziadze. Słyszę – ktoś się rusza w środku, drzwi się odmykają. Czapka ruska, twarz ledwo widać. Z wyglądu *czelidon*⁴⁵. Wypowiada najrozsądniejsze w tej sytuacji słowa:

– Czego chcesz? I zaraz potem: – A masz co zapalić?

Ja tak na to: – Tak, mam. Drogi szukam, do miejscowości Szalo ile?

– 30 kilometrów. *Mnogo*, nie dojdiesz. Zajdź do mnie do wagonu.

Było już po południu.

W środku brud i smród. Siedzi, ma obok piecyk – kozę.

– Dokąd idziesz?

Mówię nazwę miejscowości – Murtuk.

– To ze 300 kilometrów ścieżkami przez tajgę. Skąd ty wracasz?

– Trzy lata w marynarce służyłem – kłamię gładko. Prawdy powiedzieć nie było można. Koledzy w Workucie uprzedzali mnie, żebym nikomu się nie przyznawał, że byłem w łagrze, bo mnie zniszczą. Miałem krótko strzyżone włosy, mówiłem więc, że z wojska jadę.

– Gdzie służyłeś?

– na *Baltijskom Morie*?

– A czemu tutaj jedziesz?

– Na urlop. Zapalimy?

Wyjmuję machorkę. I tak rozmawiamy. Pomału zaczyna mnie rozszyfrowywać. W końcu poszliśmy spać. Ogień dość szybko zgasł, zimno było całą noc. Ale człowiek przyzwyczajony, to i spał bez problemu. Nad ranem wyruszyłem, poszedłem szybko i do wieczora doszedłem do tej pierwszej miejscowości. Tam funkcjonowało coś na kształt oberży, stały samowary, gotowali *kipiatok*. Można było usiąść w kącie i podrzemać.

Przenocowałem i ruszyłem w dalszą drogę. Wędrowałem do kolejnych miejscowości i wychodząc z nich, pytałem się, dokąd mam iść dalej. Należało podążać główną *trapinką*⁴⁶, niebezpiecznie gdziekolwiek skręcać, w tajdze łatwo się zgubić i zamarznąć. Z Kamarcziagi poszedłem do Narwy – 20 kilometrów piechotą. Jedną noc przespałem pod drzewem, ja naprawdę wtedy niczego się nie bałem. Przed Pimią wycinali las i w celu wywozu drewna zbudowali na długości 7–8 kilometrów kolejkę wąskotorową. Podjechałem nią kawałek, dość ryzykownie zresztą, bo drewno się strasznie kołysało i mogło mi zmiażdżyć nogi. Z Narwy do Pimii było tajgą łącznie 47 kilometrów, prawie 50. W Pimii była stołówka, dostałem w niej kapuśniaka z dokładką i instrukcje na dalszą drogę. W stołówce tej dzięki uprzejmości pracującej tam dziewczyny spędziłem noc.

⁴³ Konduktor, konduktorka.

⁴⁴ Dworzec kolejowy.

⁴⁵ Rdzenny Sybirak.

⁴⁶ Ścieżką.

Z Pimii było kolejnych 50 kilometrów do Pragonnej, a z niej do Murtuka jeszcze 30. Murtuk znajdował się za wartką, szybko płynącą w wąwozie syberyjską rzeką – Kołbą. Do-
szedłem do niej jak już było późno, zaczął padać deszcz. Przez rzekę została zawieszona na
rolkach stalowa lina, a do niej podpięta tratwa. Była po drugiej stronie, więc przeciągnąłem
ją na swoją. Podjechałem na środek rzeki, prąd był silny. Po długich zmaganiach przejecha-
łem w końcu na drugi brzeg. Tam wykręciłem ciuchy i poszedłem dalej.

Po pewnym czasie usłyszałem szczekanie psów i w końcu wszedłem do wioski – był to
Murtuk. Przyjechałem tam wczesną zimą – 2 grudnia 1954 r.

W osadzie spotkałem małą dziewczynkę, wieku 7–8 lat. Okazało się, że to Polka. Spyta-
łem się o moich bliskich.



Msza święta

– W środku *posiolka* po lewej stronie, długi barak, jak pan wejdzie do środka, to drugie
drzwi po lewej stronie – wyszczebiotała.

Drugie drzwi. Wchodzę, patrzę – Mamusia. Bez problemu poznała, rozplakała się, sio-
stra jak przyszła nieco później, też cała zalała się łzami. Pamiętajmy, że byłem jedynym
synem, który przeżył. Bracia zaginęli bez wieści...

– *Mamasza!* – mówię – *zdrastwujtie!*⁴⁷

– Co ty Tadek, zapomniałeś po polsku rozmawiać?

– *Mamasza* – jej mówię – *Ja nie magu inacze kak pa russki*⁴⁸.

I tak mama się bardzo martwiła. Po dwóch tygodniach mówi: – Tadek, ty będziesz się wy-
głupiać czy nie? Ja jej mówię: – *Mama nie skucziaj, ja budu jeszcze goworit' po polski*⁴⁹.
I rzeczywiście, po jakimś czasie zacząłem sylabizować, a potem to już szło mi coraz lepiej.

⁴⁷ Mamusiu, witaj!

⁴⁸ Mamusiu, nie mogę inaczej jak po rosyjsku.

⁴⁹ Mamo, nie bądź smutna, ja jeszcze będę mówił po polsku.

W *posiołku* była komórka NKWD, a w niej śledczy enkawudzista. Musiałem się u niego zameldować i zarejestrować. Zaświadczenie mi zabrał.

– W każdą sobotę proszę się do mnie zgłosić na *uczot*, że pan jest obecny. Bo jak nie, to będziemy szukać.

Poszedłem do nadleśnictwa i pracowałem rok czasu w lesie. Pracowałem tam już nie jako niewolnik, ale pracownik, który dostaje wynagrodzenie.

XXV. Osada

Nasza osada znajdowała się nad Kołbą, dopływem Many. Mieszkaliśmy w barakach, nieco podobnych do tych z łagru. W jednym budynku mieszkało od 15 do 20 rodzin. Barak przeznaczony był długim korytarzem, w którym po prawej i lewej stronie znajdowały [się] „mieszkania”. Przeciętne mieszkanie składało się z pokoju i kuchni, dwóch okien i pieca opalanego drewnem. Opał nie stanowił problemu, wystarczyło pójść w las. Z pnia rąbać drewna pod żadnym pozorem nie mogliśmy, ale były gałęzie, które zostały po wyrębie drzew. Latem, jak robiło się ciepło, przygotowywaliśmy większe zapasy drewna na zimę i składowaliśmy je w szopie przy barakach. Nad rzeką urządzono też małą elektrownię, tak że mieliśmy do dyspozycji również prąd.

XXVI. „Tajga prawo, niedźwiedź prokurator”

Te dziewczyny na tym zdjęciu takie ładne! Ale takie są dlatego, bo dopiero co przyjechały. Niestety później, jak już wyjeżdżałem, to wręcz szmaty się z nich zrobiły. One po prostu „wypracowały się” w tej tajdze. Dziewczyna musiała tam pracować w lesie siekierą na równi z mężczyzną, około 10 godzin, a rąbało się drzewa i po 50 metrów wysokości. Żeby dostać wynagrodzenie, normę trzeba było wyrobić. Te dziewczyny ze zdjęcia to Litwinki, wzięte prosto od rodziców – kułaków. Rosjanie wywozili wszystkich po kolei, ładowali ich do transportów i wysyłali na przymusowe prace. Zresztą kto pojedzie tam – w tajgę – z własnej woli pracować i to w takich warunkach! Roskie w każdym razie nie chcieli tam jechać. W tajdze po prostu nie ma życia, komary i meszki gryzą dzień i noc. Dochodzą do tego dzikie zwierzęta, mówi się: „Tajga prawo, niedźwiedź prokurator”. Władzy państwowej nie było tam wiele – stacjonowało tam po prostu trochę czekistów i oni trzymali nadzór nad zesłanymi. Nadzór ów wyglądał tak, że w każdą sobotę trzeba było meldować swoją obecność. Nie mieliśmy prawa opuszczać terenu. Zresztą jak pójdzie się tak po prostu w tajgę, to i tak się zginie. Ilu tam Polaków zesłano i ilu stamtąd nie wróciło, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie. Do wielu miejsc położonych w głębi Syberii nie było przecież łatwego dostępu, żadnego dojazdu, kolei ani nawet porządnej drogi. Ale ja tam byłem i widziałem te sprawy – przecież gdybym nie był i nie widział, tobym teraz o tym nie opowiadał.

Obszar, gdzie przebywaliśmy, znajdował się niedaleko mongolskiej granicy. Jak wspominałem, mieszkali tam przeważnie sami skazańcy. Jediną ludnością, którą można było uznać za miejscową, byli *czeldoni*, rdzenni Sybiracy, Rosjanie. Koczowali na podobieństwo Eskimosów, mieszkali w jednej miejscowości rok lub dwa, dopóki tajga była blisko. Jak ją w pobliżu wycięto, przenosili się dalej.

Codziennie trzeba było wyrąbać określoną ilość drzewa. Krzaki należało do razu składać na jedno miejsce i spalać, a ścięte drzewa zwoziło się potem na *plodźbiszcz*, to znaczy na duży, wykarczowany plac. Ciągniki przywoziły tam takie na oko trzydziestometrowe *chłysty* i cięło się je na pięciometrowe, standardowe kawałki. Następnie przyjeżdżały samochody i ładowano na nie ręcznie drewno – dźwigów tam nie było. Kładliśmy więc te bele na samochody, po czym siadało na nich od ośmiu do dziesięciu ludzi.



Ciągnik KT12

Kobiety nad Kolbą



Syberia,
splaw drewna

Z naszego rejonu drewno woziło się na stosunkowo szeroką rzekę Manę, do której wpadały liczne górskie potoki. Składano je przez całą zimę, tak że na początku wiosny, na przestrzeni 20–30 kilometrów cała rzeka zasłana była tym drewnem. Wiosna przychodziła późno, w czerwcu gdzieś dopiero i wtedy las zaczynał swoją wagą płynąć Maną i innymi dopływami do Jeniseja. Nim drewno szło jeszcze jakieś 800 kilometrów do Krasnojarska. A w Krasnojarsku stały maszyny i wylapywały ten las, który potem ładowany był na wagony.

Zaopatrzenie do osad dostarczało się natomiast zimą. Łód na rzekach syberyjskich jest tak gruby, że całą zimę były w stanie jeździć po nim ciągniki S-80. Woziły one zaopatrzenie z Krasnojarska i innych miejscowości. Do tego zaopatrzenia należały rozmaite oleje, smary, jak również margaryny, zapalki i rozmaite produkty pierwszej potrzeby, takie jak nici i guziki, słowem wszystko co potrzebne jest do przeżycia na Syberii. Nie było tam młynów, więc trzeba było dowieźć również mąkę na chleb. To, co ciągniki przywiozły zimą, musiało starczyć na cały sezon wiosenno-letni. Samolotem do tej naszej głuszy nie dało się dotrzeć, o lotniskach oczywiście nie było co marzyć.

Lato na Syberii było dłuższe, nie takie jak w Workucie. W okolicach Kamarcziagi już od maja robiło się cieplej. Zimno robiło się dopiero od października. Możliwości zdobycia jedzenia były tam nieporównywalnie większe niż na jałowej i więziennej północy. W pewnym miejscu nad rzeką na skarpie znaleźliśmy kawałek dobrej ziemi. Niektórzy z mieszkańców osady chodzili tam wyposażeni w łopatki i sadzili warzywa oraz ziemniaki. Natomiast w tajdze zbieraliśmy dziki czosnek, taki z grubą łodygą. Nacieraliśmy nim chleb i jedliśmy z wędliną. Tajga stanowiła tam prawo, ale jednocześnie spichlerz. Przyroda syberyjska mimo że surowa była jednak bogata i dzieliła się z nami swoimi zasobami. Zresztą dużych oczekiwań nie mieliśmy.

Pod koniec mojego pobytu na Syberii dorobiłem się dubeltówki. Poszedłem do enkawudzisty z prośbą o zezwolenie na broń. Początkowo nie chciał się zgodzić. Koniec końców kosztowało mnie to kilka flaszek wódki. Strzelbę ładowało się albo kulami (to na niedźwiedzia), albo kartaczami (na ptaki). Chodziłem na polowania do tajgi. Polowałem przeważnie na *riabcziki*, będące rodzajem kuropatwy. Były lekko większe od gołębi. Mięso syte, doskonale uzupełniało tamtejszą dietę. Polowania początkowo nie za bardzo mi wychodziły. Pomogli mi tamtejsi myśliwi, ci *czeldoni*, którzy dość szybko nauczyli mnie właściwych technik.

Nasz *diesiatnik*⁵⁰ miał cztery żony i żadna z nim się nie kłóciła. Szedł na noc, do której chciał.

Pewnego dnia mówi do mnie:

– Tadek, dlaczego ty nie jedziesz do Polski?

Mówię: – Ja niczego *nie znaju*!⁵¹

– *Kak niczego nie znajecie?*⁵² Ja tobie dam urlop, trzeba się spieszyć, bo repatriacja się skończy.

Był grudzień. Pojechałem, częściowo konno, do Krasnojarska na polski punkt repatriacyjny. Mama i siostra miały dokumenty świadczące, że jesteśmy Polakami. Na ich podstawie zacząłem załatwiać formalności.

W punkcie repatriacyjnym zapytali się mnie:

– Dlaczego pan po rusku rozmawia?

– *Diesiat' liet był w Komi w lagierie*⁵³.

⁵⁰ Brygadzysta.

⁵¹ Ja nic nie wiem!

⁵² Jak to nic nie wiecie?

⁵³ Dziesięć lat byłem w Komi w obozie.



**Lespromchoz
w Murtuku**

– To się zdarza, może pan dalej mówić po rosyjsku.

W ciągu dwóch godzin wydali dokumenty całej rodzinie, w tym kuzynowi. Dali nam zezwolenie na wyjazd z Krasnojarskiego Kraju do *Polskiej Narodowej Republiki*. Z nimi pojechałem, nie tracąc czasu, z powrotem do mojej miejscowości. Rozliczyłem się szybko z moim *promchozem*, po czym poszedłem do *spieccziasti*, czyli *priedsiedatiela*⁵⁴ NKWD w mojej miejscowości. Oni rozliczyli nas w ciągu dwóch dni.

Rzeki zamieniają się zimą na Syberii w całkiem dobrej jakości drogi. Szczególnie dotyczy to potężnej rzeki Jenisej. Jedzie się po niej jak po autostradzie, szeroka jest czasami na 3 kilometry, tak że nie widać drugiego brzegu. Jak ściśnie mróz, ciągniki idą dzień i noc. Jeden z nich jadący po towar wziął nas ze sobą. Rzeczy żadnych ze sobą nie braliśmy, bo tak między Bogiem a prawdą nie za bardzo było co wziąć. Dotarliśmy do Krasnojarska. Tam stał na boczniczy pociąg repatriacyjny i nim w 1956 r. wróciliśmy do Polski. Ostatni etap wędrówki do kraju liczył pięć tysięcy kilometrów. Przyjechaliśmy ostatnim takim transportem. Zawdzięczamy to temu Pietraczience, brygadziście syberyjskiemu, co to miał cztery żony.

XXVII. Piękny powrót

Do kraju dotarliśmy przez Kijów i Lwów. Punkt repatriacyjny wyznaczono nam w Nowym Sączu. Transport był stosunkowo duży, jechało nim około dwa tysiące osób. Pociąg składał się z wagonów osobowych. Do pociągu dołączony był też wagon specjalny, w którym podróżowała cała śmietanka wojska NKWD – kapitanowie, podpułkownicy i pułkownicy, którzy prowadzili nasz transport. Pewnego dnia jeden z nich przyszedł do naszego wagonu i pyta:

– *Kto pa ruski goworit? Nam nużny kto to na komiendanta ubieżuszczich*⁵⁵.

Nazywali nas, jadących z nieludzkiej ziemi, *ubieżuszczimi*. Hmm, może mieli rację. Zgłosiłem się.

– *Dawaj s nami!*

⁵⁴ Przedstawiciela.

⁵⁵ Kto mówi po rosyjsku? Jest nam ktoś potrzebny na komendanta uchodźców.

Enkawudziści zaprowadzili mnie do swojego wagonu. Pili tam wódkę, poczęstowali nią i mianowali naczelnikiem eszelonu. Zaczęli mnie następnie uświadamiać, że jak będziemy podjeżdżać pod granicę, zaczną rozdawać ubrania tym, którzy potrzebują.

– My was przeprowadzamy na drugie życie, trzeba was będzie przemunduować. Będziemy – mówią – dawać ubrania lepsze, żebyście nie jechali do Polski w takich łachmanach. Raz dziennie na większych stacjach powiadomimy was, gdzie będziecie pobierać posiłki. Proszę to tak zorganizować, żeby wszyscy byli nakarmieni, żeby ludzie nie byli przy tym oszukani i żeby każdy dostał swoją porcję.

I tak się rzeczywiście działo, pociąg zatrzymywał się na większych stacjach, czasami na zapasowym torze, przepuszczał inne pociągi, nabierał wody lub węgla. Dawali zupę, kotlety i kaszę. Rzeczywiście starałem się tak wszystkich nakarmić, żeby nikt nie był głodny. Musiałem też trzymać porządek. Inni Polacy zarzucali mi często, że jestem kapuś.

Czas wolno płynął. Kiedy zostawiali nas dłuższy czas na bocznicach, ludzie wychodzili z pociągu i jak mieli jakieś ruble, kupowali drobne jedzenie. Tak przemierzaliśmy ogromny szmat terenu i w końcu podjechaliśmy pod granicę. Za Lwowem zatrzymaliśmy się w szczerym polu.

Przyszło do mnie NKWD:

– *Słuszaj, szcias prijdut maszyny*⁵⁶, masz listy gotowe?

– *Kanieszna!*⁵⁷ Mówią dalej:

– *Smatri*, kto źle ubrany, to będziesz wydawać mu ubranie.

Przyjechało z pięć zisow. Dawałem ubrania po kolei wszystkim, bez tej listy, którą kazali mi przygotować. Były to takie ubrania ruskie z pokrzywy, materiał raczej słabej jakości. Sobie wybrałem garnitur, nałożyłem spodnie i marynarkę, dobrałem czapkę. Dla mamusi wzięłem płaszcz, ubrałem poza tym siostrę i kuzyna, który jechał z nami. Generalnie wszyscy, którzy chcieli, brali co było w dyspozycji. W końcu wszyscy zaczęli jakoś wyglądać. Stare ciuchy starannie nam pozabierano. Cała operacja trwała ze dwie doby.

Jak już się zakończyła – zameldowałem:

– *Naczialnik, wsio w pariadkie, wsie priodiety i dawolny!*

– *Nu choroszo. Maładiec! No „maładiec” eto pa ruski, a po polski kak by eto było, ja nie znaju?*⁵⁸

Mówię na to: – *Zasraniec, gospodin Naczialnik.*

Bystry byłem chłopak jak cholera. Nie ryzykowałem niczym. Jak już dojechaliśmy prawie do samej granicy, to gdyby nawet oni nie puścili, to sam bym im stamtąd uciekł.

W końcu pociąg zatrąbił, ruszył i poszedł na polską stronę. Po jakimś czasie wjechaliśmy na stację, której nazwy sobie nie przypominam. Na niej skończyły się szerokie tory i przeładowaliśmy się wszyscy na wąską kolej. Potrwało to około pół dnia. Przesiedliśmy się do polskich wagonów pulmanowskich i ruszyliśmy w dalszą podróż. Do Nowego Sącza przyjechaliśmy w nocy.

XXVIII. Po powrocie

W nocy z Polski wyjechałem, w nocy do niej przyjechałem. W Nowym Sączu do rana jeszcze przedrzemaliśmy w wagonach. Rano patrząc, przychodzą nasze władze. Podjechały

⁵⁶ Posłuchaj, teraz przyjadą samochody.

⁵⁷ Oczywiście!

⁵⁸ – Naczelniku, wszystko w porządku, wszyscy są ubrani i zadowoleni.

– Dobrze, zuch chłopak (czyli trudno przetłumaczalne słowo *maładiec*)! Ale *maładiec* to po rosyjsku, a nie wiem, jak by to było po polsku?

samochody, do których zaczęli nas ładować i wozić do koszar wojskowych. Ach, te kosza-ry! Trzeba przyznać, że o nas zadbano. Mieliśmy wspaniałe – stoły zastawione, jedzenie wyśmienite, nawet orkiestra grała. Spędziliśmy tam około tygodnia. Potem dali naszej rodzinie skierowanie na Ziemię Odzyskane. Wysyłano tam wszystkich, bo w takim szczecińskim czy olsztyńskim stale brakowało ludzi. Nasze ziemie rodzinne były zaludnione i każdy był tam zakorzeniony od dziada, pradziada i ludzie się znali, a tam wtedy nadal panował duży bałagan.

Ja sobie załatwiłem jeszcze wczasy w Szklarskiej Porębie. Zatrzymałem się w „Kroku-sie”, dawnej rezydencji Göringa i stosownie do tego wyposażonej. Piękny budynek, a w środku dębowe boazerie, wszędzie lustra, apartamenty nie z tej ziemi. Do tego doskonała kuchnia i coś, co dzisiaj nazwalibyśmy odnową biologiczną. Z tych rozmaitych saun i łaźni korzystałem na tyle często, że po dwóch tygodniach zacząłem wreszcie przyzwycie wyglądać.

Pojechałem do Katowic, do kopalni, zarobić pieniądze – z pustymi kieszeniami pojechać do Olsztyna nie chciałem. Wybrałem się tam na ślepo, mówili mi, że w górnictwie zawsze robotę znajdzie. I mieli rację. Mówiłem wtedy jeszcze bardziej po rosyjsku niż po polsku. Poszedłem do kadr kopalni Jadwiga i powiedziałem, że z zawodu jestem górnikiem. – Nie ma sprawy, zaraz przyjdzie kierownik. Przyszedł dyrektor, wziął mnie do biura.

– Gdzie pan pracował? Co pan robił?

Ja tak po rusku jeszcze *gawariłem*, odpowiadałem mu na pytania łamanym językiem.

– No i nie ma sprawy. Od jutra może pan przychodzić do pracy. Niech pan tylko pójdzie do kadr z dokumentami i załatwi wszystkie formalności.

– Ja nie mam paszportu.

– A co pan ma?

– Jedyne kartę repatriacyjną, a do - wód odebrać mogę tylko w miejscu na- znaczenia w Olsztynie.

W końcu zezwolili mi pracować na kartę repatriacyjną. Kiedy dostałem ja- kieś dwa lub trzy dni urlopu, pojecha- łem do Olsztyna i wyrobiłem w końcu dowód osobisty.

Hanysy mnie stale na wódkę wołali, ale „idź się utop” im mówiłem. Ja po prostu nie chciałem tyle alkoholu pić, ale dla nich byłem po prostu kacapem. Zupełnie nie szło z nimi pracować. Po- za tym złodziejstwo było tam potężne. Zarobiłem trochę grosza, ale w końcu sobie pomyślałem: – Cóż to, czy ja oj- ca lub matkę zamordowałem, żeby całe życie na kopalni pracować? Po co mi właściwie te pieniądze? Tam nie zginą- łem, to i tu nie zginę. Po ośmiu miesi- acach pracy rozliczyłem się z kopalnią. Wsiadłem w pociąg i pojechałem do Olsztyna.



Tadeusz Pietkiewicz



Tadeusz Pietkiewicz z siostrą Marią

W Olsztynie moje kobiety (mama z siostrą) mieszkały same, nie było im łatwo. Ja pieniędzy trochę miałem, część włożyłem na książeczkę oszczędnościową, a za resztę kupiłem to wszystko, co potrzebne jest w domu: stół, taborety, widelce, noże, łyżki i garnki. Poza tym sprawiłem im ubrania. W Olsztynie pracowałem dwa lata.

Będąc jeszcze na Syberii, poznałem Helenę, również z Wileńszczyzny, z regionu solecznickiego. Ojciec Heleny pracował przed wojną w Ameryce, zarobił pieniądze i po powrocie do Polski kupił sporo ziemi. Sowietci wzięli go za kulaka i wywieźli całą rodzinę na Syberię.

Większość na szczęście wróciła. Do dzisiaj (2009 r.) żyje jeszcze jedna jej siostra – ma teraz 88 lat. W Murtuku przyrzekliśmy sobie, że jak się w Polsce odnajdziemy, to weźmiemy ślub. Helena wróciła do Polski dwa lata później i skierowano ją do Słupska. Spotkała tam kogoś, kto był z nami w Nowym Sączu i poinformował ją, dokąd pojechaliśmy. Helena zdobyła nasz adres i przesłała mi list. Mówię zatem mamie:

– Mamusiu, będę musiał wyjeżdżać, bo ta Helena moja przyjechała. A dane przeze mnie słowo droższe [od] pieniędzy. Poza tym nie będę dalej szukać, ja jestem już niemłody, muszę się ożenić. Może jakieś dzieci będę mieć?

– Tak – odpowiada – ale mnie zostawiasz samą, nie?

– Mamusiu – mówię – takie życie, tyle przeszliśmy, góry, rzeki, srebrne trąby, a pod koniec trzeba się ustatkować. Będziemy się odwiedzać, będę często przyjeżdżać. I rzeczywiście przyjeżdżałem do matki, do Olsztyna stale. Potem w 1978 r. rodzina przeprowadziła się do Otwocka. W Słupsku natomiast poszedłem do pracy, tam się urządziłem, zacząłem zarabiać, po pewnym czasie było mnie nawet stać na samochód.

XXIX. PRL i RP

Na UB szantażowali mnie niezliczoną liczbą razy. Do żadnych związków nie należałem, do „Solidarności” również nie. Nie miało to sensu, bo byłem u nich na indeksie. Milicjanci mieli wszystkie moje dane, byli jak psy. W 1980 r. przywieźli do nas zomowców z Tczewa i gdy ludzie wychodzili z kościoła, łapali ich po kolei i robili im ścieżkę zdrowia. Pędzili i lali pałami, ludzie padali na schodach. Teraz już ci starzy zomowcy, te wredne cholery, pozdychali wszyscy.

Trzy kilometry od Słupska, w Kobylnicy, był warsztat, gdzie reperowałem swój samochód. Tak się zdarzyło, że w czasie stanu wojennego musiałem wymienić silnik. Żeby tam pojechać, wymagane było zezwolenie i tego zezwolenia mi nie dano. Poszedłem później do urzędu miasta po zgodę, żeby pojechać do matki, starszka nie miała wtedy co jeść. Zgodę mi dali, ale w pociągu kontrolowali mnie 15 razy. Poza tym pociąg jechał dużo dłużej, bo w Gdańsku przepuszczał wojskowe transporty sunące bez końca jeden za drugim. Nie przychodzi mi do głowy inne określenia jak psy, banda, barbarzyńcy, szmaty!

Żeby tej komuny nie było, to miałbym teraz ze 2000 zł emerytury. W ZUS oświadczyłem, że pracowałem w kopalniach jako górnik. Urzędniczka odpowiedziała, że to lata nie-składkowe i niepłatne. Dostałem więc tylko za to, co wypracowałem w Polsce. Wiedzieli, że jestem postrzelany i nie mam prawa się denerwować, a mimo to stwierdzili:

– Ma pan głowę i ręce, mieszkanie panu dali, czego pan szuka i co pan jeszcze chce?

Procesowałem się o to, lecz sędzina mnie do głosu nie dopuszczała. Zamówiła teczkę z dokumentami i trzymała ją u siebie trzy lata, a koniec końców nie chciała nawet ich przeglądać. W pewnym momencie zagroziła mi wręcz aresztem, bo nie przebierałem w słowach. Sprawę zamknęto w 2003 r., trwało to wszystko trzy lata z hakiem. Nie ma o czym i z kim w tej sprawie rozmawiać. Koniec końców dali mi tylko to, co przepracowałem w Polsce.

Pisałem do Wilna, żeby mnie zrehabilitowali, bo byłem niesprawiedliwie sądzony. Oni powiedzieli, że nie mogą tego zrobić, ale z archiwum Republiki Litewskiej przysłali mi wyrok. Pietkiewicz, syn Wawrzyńca i Marii Lumbe – kara śmierci z protokołu takiego a takiego.

Napisałem również do Konsulatu Rosyjskiego w Gdańsku, zapłaciłem 150 zł i przysłali mi zaświadczenie.

Kontaktował się ze mną Ośrodek Karta. Pisali do mnie, bo miałem karę śmierci. Nawet coś im odpowiedziałem, ale na kolejne pismo już nie. Korespondowałem też z IPN w Gdańsku i Warszawie, ale jakoś nikt nie był w stanie albo nie chciał mi pomóc w znalezieniu moich dokumentów.

XXX. Epilog

Że ja stamtąd wyszedłem, że dzisiaj jeszcze chodzę, to jest cud od Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przecież poza małymi wyjątkami nikogo z łagrów nie zwalniali. Wyroki ogromne ludzie mieli, po 25 lat. Szczerze powiedziawszy, wątpię, żeby wielu wróciło z tej Workuty. Ja osobiście nie spotkałem w przeciągu tych czterdziestu paru lat nikogo, a miałem styczność z wieloma ludźmi. Należę do Związku Sybiraków, regularnie płacę składkę, co roku chodzę na spotkania. Pytałem w różnych miejscach, i u Sybiraków, i tych, którzy byli w Pieczorze. Mówili mi, że kogoś znali, ale on już nie żyje.

Mamusię i siostrę pochowałem w Otwocku, gdzie mieszkały przez ostatnie lata życia, postawiłem tam pomniki. Sprawdziłem też w IPN, gdzie był ojciec i dałem 200 zł, żeby wmurowali na cmentarzu tabliczkę: „Wawrzyniec Pietkiewicz, stracony w Irkucku”. Tak los pokierował, że na Syberii byliśmy całkiem niedaleko jego obozu. Ale wtedy o tym nie wiedzieliśmy...

Przeszło wszystko jak we śnie, czasami tylko siadam, wspomnienia przychodzą i myślę o tym wszystkim. Staram się te myśli odganiać. Wychodzę wtedy na świeże powietrze, przejść się, przejechać samochodem, żeby za dużo o tym nie rozważać. Nie ma żony – umarła kilka lat temu, nie ma kolegów.

Ja w gruncie rzeczy jestem spokojny. Teraz wystarczy, żeby jakiś pożar wybuchł, to od razu trzeba wzywać do poszkodowanych psychologa. Proszę sobie wyobrazić, że ja po tym wszystkim, po 3 miesiącach w podziemnej celi śmierci i 9 latach w zimnym, podziemnym, czarnym jak antracyt piekle, żadnego psychologa nie miałem. Widziałem jak umierają i ulegają wypadkom moi współtowarzysze. Po zakończeniu tego wszystkiego wiedziałem, że jestem nie do życia, ale przełamałem to w sobie. Jestem człowiekiem szczęśliwym, jestem człowiekiem. Zwyciężyłem!

Opracował Mateusz Stąsień